



Var:Art

nr 1-2/2026 (70-71)

ISSN 2080-1483

pismo kulturalno-literackie



STANISŁAW CZACHOROWSKI

Neotenia, czyli czy warto dorosnąć?

Dzieciństwo i młodość wydają się czymś pięknym i wspaniałym. A zatem czy dobrze jest być dzieckiem i nigdy nie dorastać? Na pierwszy rzut oka odpowiedź wydaje się oczywista. Żadnych podatków, kredytów, terminów, posiedzeń komisji i zepsutych pralek. Świat jest prostszy, ciekawszy i pełen wakacyjnych przygód. Podobne pytanie postawił Günter Grass w swojej powieści *Błaznany bębenek*. Jej bohater, Oskar Matzerath, mając trzy lata postanawia przestać rosnąć. Jest to jego bunt przeciwko światu dorosłych pełnemu hipokryzji, przemocy i absurdów. Oskar zachowuje ciało dziecka. To nie jest opowieść o szczęśliwej wiecznej młodości, ale gorzka przypowieść o tym, że czasu nie da się zatrzymać tylko dlatego, że przestaniemy rosnąć. A czy podobne znajdziemy przykłady w świecie przyrody? Czy wszystkie organizmy muszą dorosnąć, zestarzeć się i umrzeć? Okazuje się, że nie. Jednym z najbardziej niezwykłych stworzeń jest aksolotl. Ten sympatyczny płaz zachowuje przez całe życie młodzieńcze cechy larwy. Ma zewnętrzne skrzela, wodny tryb życia i wygląda tak, jakby nigdy nie skończył szkoły podstawowej. Biolodzy nazywają to neotenią, czyli osiąganiem dojrzałości płciowej przy zachowaniu cech młodocianych.

To jednak dopiero początek biologicznych dziwactw. Są meduzy, które potrafią odmłodzić własne ciało. Po osiągnięciu dojrzałości wracają do stadium polipa i rozpoczynają cykl życia od nowa. Jakby emeryt nagle zamienił się z powrotem w przedszkolaka, zachowując możliwość ponownego przeżycia całej historii.

Po co właściwie istnieje młodość? Dlaczego organizmy nie rodzą się od razu dorosłe? A skoro już młodość jest potrzebna, to po co starość? Dlaczego umierać, zamiast pozostawać wiecznie młodym? Ewolucja nie projektuje organizmów dla szczęścia jednostki. Projektuje rozwiązania, które zwiększają szanse przekazania genów następnemu pokoleniu. Młodość to czas uczenia się świata, eksperymentowania i popełniania błędów. Dorosłość pozwala wykorzystać zdobyte doświadczenie do rozmnażania i opieki nad potomstwem. Starość zaś, choć brzmi to brutalnie, otwiera miejsce dla nowych pokoleń i nowych kombinacji genów. Jest grzecznością zrobienia miejsca dla innych. Śmierć nie jest porażką ewolucji. Jest jednym z jej najważniejszych wynalazków.



Rys. Karolina Lewandowska

Niektóre gatunki zachowują młodzieńcze cechy, jeśli okazuje się to korzystne. Neotenia staje się strategią, a nie błędem. Jest w pewnym sensie wyjściem z ślepej uliczki specjalizacji, gdy środowisko się zmienia. Człowiek od dawna jest określany jako neoteniczna małpa. W porównaniu z innymi naczelnymi przez całe życie zachowujemy wiele cech młodocianych: stosunkowo płaską twarz, dużą czaszkę w stosunku do ciała, długą zdolność uczenia się, ciekawość świata. Właśnie to pozwala nam nauczyć się języka, kultury, współpracy i tego wszystkiego, co czyni nas ludźmi twórczymi.

Może więc nasze „dzieciństwo” nie jest wadą, lecz największym ewolucyjnym sukcesem. Być może cywilizacja powstała dlatego, że zbyt długo bawiliśmy się światem, zadawaliśmy głupie pytania i nie spieszyliśmy się z dorastaniem. Pozostaje tylko jedna przestroga: dobrze jest zachować dziecięcą ciekawość, znacznie gorzej jest zachować dziecięcą nieodpowiedzialność.

Neotenia jest darem biologii, ale dojrzałość pozostaje sztuką. Ewolucja nie nagradza ani wiecznej młodości, ani szybkiego dojrzewania. Nagradza elastyczność. U człowieka przejawia się ona właśnie w przedłużonym dzieciństwie i w niezwyklej plastyczności mózgu. W pewnym sensie nasza cywilizacja powstała dlatego, że zbyt długo pozostawaliśmy ciekawskimi „małpimi dziećmi”. ■

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Neotenia, czyli czy warto dorosnąć?

04 WYWIAD

Z ANGELIKĄ STAWISIŃSKĄ rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

07 PROZA

ZUZANNA JARCZEWSKA: Stworzenie

08 PROZA

JUSTYNA ŁUCJA

10 POEZJA

BARBARA MACIOŁEK: Sonety

11 POEZJA

OLIWIA JAROŃ: Wiersze

12 POEZJA

ANDREJ KOSTINSKI: Wiersze

14 INICJATYWA

MARTA LESZEK: Frajda w galerii. Dzieci i sztuka współczesna

15 W SAMYM ŚRODKU — GALERIA VARIARTA

JAREK KORDACZUK: Festiwal Sonikalia

16 GALERIA

FESTIWAL SONIKALIA: Eksploratorzy Partytur

18 KRÓTKA FORMA

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Kto to pamięta?

20 REGION

JAN ROSŁAN: Tadeusza Borowskiego związki z Olsztynem

22 FELIETON

MARY RUMI: Sto sposobów — felieton o kluciu się

24 RECENZJA

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA: Dziennik, nie-dziennik

26 REGION

IWONA JEDYNASTA: O dzieciach możliwych w dawnych Prusach Wschodnich

28 FELIETON

KRZYSZTOF KAPINOS: Podwórka i place zabaw...

29 RECENZJA

MARIA JOŃCZYK-ZEGLER: Bajka po liftingu

30 NA KOŃCU

AGATA GRZEGORCZYK-WOSIEK: Młodzi

Czy dzieciństwo to tylko festiwal radości, podskoków, niepokromione poznawanie świata? Szczęśliwe dzieciństwo daje dobry start w dorosłość. Powszechnie znane powiedzenia: „Czym skorupka za młodu nasiąknie...” i „Niedaleko pada jabłko od jabłoni” skłaniają do refleksji nad tym, jak wychowywać.

O wchodzeniu w dorosłość i potrzebach młodych ludzi rozmawiają: Karolina Rogóż-Namiołko i Angelika Stawisińska, dyrektorka Pałacu Młodzieży im. Orłąt Lwowskich w Olsztynie. Stanisław Czachorowski rozważa, czy można zostać na zawsze dzieckiem. Mary Rumi w swoim felietonie przyznaje, że dzieciństwo jest dla niej źródłem inspiracji podczas pisania tekstów. O tym, że jedno „la, la, la” może zmienić całe życie — to podczas Festiwalu Sonikalia. Marta Leszek opowiada o tym, jak galerie sztuki współczesnej otwierają drzwi przed najmłodszymi odbiorcami. VariArt w tym wydaniu może nie dla dzieci, ale o dzieciach i sprawach z nimi związanych — również w felietonach Krzysztofa Kapinosa oraz Iwony Jędynasty.

Redakcja zaprasza do wspólnej zabawy — na karuzelę, z wiatrem we włosach i latawcem na niebie.

VariArt



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 01-02/2026 (70-71)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.olsztyn.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Dziekiewicz, Krzysztof Kapinos,

Agnieszka Klisz, Anna Rau, Anita Romulewicz, Karolina Rogóż-Namiołko,

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Pierwsza strona okładki: Bogdan W. Bartkowski, skład: Iwona Bolińska-Walendzik

Czwarta strona okładki: Karolina Czaplicka, legoprint, 2026

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski; Olsztyn

Z ANGELIKĄ STAWISIŃSKĄ, dyrektorką Pałacu Młodzieży im. Orłów Lwowskich w Olsztynie,
rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

Dorastanie to przygoda

Dorastanie kojarzy się z buntem. Z potrzebą oderwania się od tego, co narzucają dorośli, z próbą znalezienia własnej tożsamości. Czy ten bunt rzeczywiście jest nieodłączną częścią dorastania?

Każdy z nas był kiedyś młody i pewnie dobrze pamięta ten okres. Nie wiem jednak, czy nazwałabym go buntem w negatywnym znaczeniu. Bunt budzi określone skojarzenia, a dla mnie jest to raczej potrzeba innego spojrzenia na świat, poszukiwania czegoś nowego. Zresztą bardzo często to właśnie młodzi ludzie dokonują wielkich zmian. Wnoszą do naszego świata świeże spojrzenie, które później, jako dorośli, czasami tracimy. Wpadamy w codzienność, poddajemy się rutynie, kolejne dni zaczynają wyglądać podobnie. Młodzi natomiast wciąż czegoś szukają. Nasza placówka stara się za tymi poszukiwaniami podążać. Rozmawiamy z młodzieżą, pytamy, co ją interesuje, pozwalamy zmieniać pracownię, próbować różnych dziedzin. Jeśli dana forma zajęć komuś nie odpowiada, może wybrać inną. Jeśli potrzebuje innego podejścia do przedmiotu, może pracować z innym nauczycielem albo zmienić grupę. To jest właśnie ich dorastanie — poszukiwanie własnej drogi. My możemy im w tym towarzyszyć, ale nie powinniśmy tej drogi za nich wyznaczać.

Czyli Pałac Młodzieży jest trochę miejscem, w którym można bezpiecznie pobrać?

Tak. I uczymy również dokonywania wyborów. To dzisiaj bardzo ważna umiejętność, bo każdego dnia mamy ich ogromną liczbę. Dziecko jest przyzwyczajone do tego, że rodzice wybierają za nie. Nagle młody człowiek dostaje wolność i musi sam zdecydować, czego chce. Czasami wybiera, próbuje, rezygnuje, wraca. To jest naturalny proces. I przy okazji okazuje się, że młodzi ludzie mają bardzo mądre przemyślenia.

Dziś chyba rzeczywiście częściej pozwalamy młodym próbować. Nie muszą już zapisywać się na pianino w wieku czterech lat i grać do matury tylko dlatego, że kiedyś tak zdecydowali rodzice. Mogą zrezygnować, zrobić przerwę, znaleźć coś innego. Tylko czy nie tracimy przy tym konsekwencji?

Rzeczywiście łatwiej jest dzisiaj z czegoś zrezygnować i łatwiej zmienić decyzję. Dotyczy to zresztą nie tylko dzieci i młodzieży, ale również dorosłych. Kiedyś bardziej staraliśmy się realizować raz przyjęty plan, być w czymś naprawdę dobrzy. Dzisiaj próbujemy wielu rzeczy. To oczywiście ma swoją wartość, ale istnieje też druga strona: jeżeli ciągle próbujemy czegoś nowego, możemy nie zgłębić żadnej dziedziny wystarczająco, żeby rzeczywiście osiągnąć w niej biegłość.

Jak więc nauczyć młodego człowieka wytrwałości? Zwłaszcza dziś, kiedy wszystko dzieje się szybko, telefon nieustannie przyciąga uwagę, a media społecznościowe przyzwyczajają nas do natychmiastowej nagrody?

Myślę, że konsekwencja dojrzewa razem z człowiekiem. Nie zawsze można jej po prostu się nauczyć. Możemy natomiast stworzyć warunki, w których młody człowiek będzie miał szansę ją w sobie rozwijać. Jeżeli wychowanek potrzebuje przerwy, pozwalamy mu na nią. Może na dwa czy trzy tygodnie zawiesić udział w zajęciach. Ważne jest jednak, żebyśmy nie tracili z nim kontaktu i nadal pobudzali jego zainteresowanie daną dziedziną.

Kiedy wraca, rozmawiamy: czy przerwa mu pomogła? Czy chce kontynuować? Czy potrzebuje jakiejś zmiany? Mamy możliwość indywidualnego podejścia do każdego wychowanka. Wystuchania go i poznania powodów konkretnej sytuacji. Jeśli widzimy spadek motywacji, staramy się również pokazać mu, z czym wiąże się dana dziedzina, jakie może mieć zastosowania, jakie zawody czy możliwości daje w przyszłości.

Fot. z archiwum Angeliki Stawisińskiej

To ważne, bo wielu naszych wychowanków, którzy przez kilka lat rozwijają swoje zainteresowania w Pałacu Młodzieży, później wybiera tę dziedzinę jako zawód.

Czy twórczość kierunkuje ich późniejszą drogę zawodową, czy przede wszystkim kształtuje pewne postawy?

To bardzo indywidualne. Każdy młody człowiek jest inny i ma inne potrzeby. Niektórzy rozwijają się u nas przede wszystkim społecznie. Uczą się współpracy, funkcjonowania w grupie, rozwijają zainteresowania, a później zawodowo wybierają zupełnie inną drogę. Są jednak również osoby, które w pewnym momencie odkrywają, że chcą związać swoją przyszłość ze sztuką. Czasami dzieje się to dopiero w wieku szesnastu czy siedemnastu lat. Wtedy pomagamy im nadrobić to, czego potrzebują, rozwijamy talent i zainteresowania, przygotowujemy wspólnie do egzaminów na studia. A później razem świętujemy, kiedy dostają się na wymarzony kierunek. Mamy wielu absolwentów, którzy dziś są profesorami, doktorami czy habilitowanymi artystami. Często wracają do nas albo wspominają Pałac jako miejsce, w którym zaczęła się ich zawodowa droga.

Sama ma Pani podobną historię. Tańczyła Pani jako młoda osoba, ale rodzice uważali, że z tańca trudno będzie żyć.

Tak. Rodzice chcieli dla mnie lepszej przyszłości i uważali, że powinnam wybrać bardziej „poważny” zawód. Posłuchałam ich, z szacunkiem, ale chyba trochę przekornie. Ukończyłam studia techniczne — towaroznawstwo — jestem magistrem inżynierem. Pracowałam jednak w tym zawodzie krócej niż rok. Równocześnie studiowałam animację społeczno-kulturalną i taniec na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Udało mi się więc połączyć te dwie drogi.



Później pracowałam w teatrze, w ośrodkach kultury, zajmowałam się tańcem również od strony organizacyjnej.

I dziś bardzo się cieszę ze swoich wyborów.

Czyli można powiedzieć, że Pani własna historia trochę odpowiada na pytanie: „Czy naprawdę warto pozwolić dziecku iść artystyczną drogą?”

Zdecydowanie. Uważam, że pozwalając dzieciom i młodzieży realizować się artystycznie, nieważne, czy poprzez taniec, teatr, muzykę czy plastykę, wzbogacamy ich życie. Nawet jeśli później wybiorą zupełnie inny zawód, będą żyli ze sztuką. Będą potrafili ją odbierać, będą bardziej wrażliwi, będą umieli dostrzegać piękno, które ich otacza. A jeśli wybiorą zawód artystyczny, wybierają ciekawe życie. Życie pełne przeżywania, tworzenia i upiększania świata innych ludzi. Artysta przekazuje siebie w dzieło. Nieważne, czy jest to przedstawienie teatralne, muzyka, obraz czy rzeźba. W każdym takim dziele zostawia część siebie. Oczywiście nie zawsze są to zawody bardzo dobrze wynagradzane. Ale przecież bywają artyści, którzy zarabiają bardzo dobrze. Tego nigdy nie wiemy. Najważniejsze jest jednak, żeby

być dobrym w tym, co się lubi. Żeby rano wstawać i mieć poczucie, że robi się coś z pasją i zaangażowaniem, że praca daje satysfakcję.

Tymczasem wielu rodziców wciąż słysząc: „aktorstwo”, „reżyseria”, „fotografia”, „Akademia Sztuk Pięknych”, reaguje: „A z czego będziesz żyć?”.

Bardzo dobrze to rozumiem, bo sama tego doświadczyłam. Rodzice chcą zapewnić dziecku bezpieczeństwo. Tylko że czasami bezpieczeństwo rozumieją jako wybór zawodu, który wydaje im się gwarancją finansowej stabilności. A przecież pieniądze nie muszą dać nam szczęścia. Jeżeli będziemy codziennie wykonywać pracę, której nie lubimy, tylko po to, żeby zarabiać, to czy rzeczywiście będziemy szczęśliwi? Młodzi ludzie często porównują zawody właśnie pod względem finansowym. Myślę jednak, że warto zadać sobie inne pytanie: co chcę robić każdego dnia? Co sprawi mi przyjemność? Jak chcę przeżyć swoje życie?

Pałac Młodzieży ma tę przewagę, że młodzi ludzie przychodzą tam z własnej woli. Jak jednak rozmawiać z nimi o kulturze i sztuce, żeby nie stały się kolejnym szkolnym obowiązkiem?

Przede wszystkim nie trzeba ich do niczego przekonywać. Trzeba dać im możliwość poszukiwania. Pozwolić, żeby znaleźli coś, w czym się zakochają, co po prostu polubią. Pałac Młodzieży to zresztą nie tylko sztuka. Mamy zajęcia techniczne, sportowe, związane z wiedzą i przyrodą. Jest żeglarstwo, strzelectwo, łucznictwo, szachy, majsterkowanie, modelarstwo, grafika. Staramy się również otwierać młodzież na piękno Warmii i Mazur. Najważniejsze jest, żeby przyjść i spróbować. Jeżeli dana forma się nie spodoba — zmienić ją. Poszukać dalej. To jest chyba nasze najważniejsze motto: poszukiwanie siebie, swoich zainteresowań i pasji.

Jednym z największych wyzwań jest dziś chyba konkurowanie o uwagę młodych ludzi z ekranami. Jak przekonać ich, żeby odłożyli telefon i przyszli spotkać się z innymi?

Budujemy relacje. To jest niezwykle ważne. Na początku roku szkolnego bardzo często organizujemy tak zwane nocowanki. Nauczyciele i młodzież spędzają razem dzień, a później nocują w Pałacu. Poznają się, integrują. Jeżeli w grupie powstanie silna więź, młodzi ludzie zaczynają przychodzić nie tylko dla zajęć, ale również dla siebie nawzajem. Podkreślamy, że przychodząc na zajęcia malarskie, nie przychodzisz wyłącznie po to, żeby malować. Przychodzisz spotkać ludzi, nauczyć

się patrzeć na świat. Dlatego zajęcia często zaczynają się od rozmowy, czasami od wspólnej herbaty, a dopiero później przechodzimy do części merytorycznej. Są też osoby, które nie chcą być mistrzami w żadnej dziedzinie. Nie mają wielkiego talentu i wcale nie muszą go mieć. Po prostu dobrze się u nas czują. I to również jest bardzo ważne.

Czyli relacja może być ważniejsza niż talent?

Zdecydowanie. Relacje są kluczem do rozwoju.

A czego najbardziej potrzebuje dzisiaj młody człowiek?

Myślę, że prawdziwych relacji. Media i telefony trochę zabrały młodym ludziom umiejętność bezpośredniego komunikowania się. Łatwiej jest napisać do kolegi czy koleżanki wiadomość, niż powiedzieć coś prosto w oczy. A przecież ogromna jest potrzeba posiadania prawdziwych przyjaciół. Nie tylko znajomych z mediów społecznościowych, którzy polubią nasze zdjęcie. Młodzi potrzebują ludzi, którym mogą powierzyć swoje sekrety. Potrzebują zrozumienia. Jednocześnie bardzo boją się oceny. Przecież nikt z nas nie jest idealny. Każdy ma jakieś talenty i dobre cechy, ale każdy również popełnia błędy. Młody człowiek często boi się, że jeśli popełni błąd, ktoś go wyśmiej. Jest bardzo wrażliwy na krytykę. Dlatego staramy się o tym rozmawiać i przygotowywać młodzież również na to, że nie zawsze wszystko się uda.

To chyba jedna z najważniejszych lekcji dorastania: że można się pomylić.

Tak. I że porażka nie musi być końcem. Jeżeli przejmujemy się każdym słowem i każdą porażką przeżywamy bez końca, zaczynamy żyć tą porażką, zamiast zastanowić się, jak ją poprawić i przekuć w sukces. W mediach społecznościowych wszystko jest jeszcze bardziej widoczne. Kiedyś o naszym błędzie wiedziało kilka osób z najbliższego otoczenia. Dzisiaj może zobaczyć go kilkaset osób. A jednocześnie media pokazują nam świat idealny. Wydaje nam się, że tacy również powinniśmy być. Młodzi ludzie bardzo mocno to odczuwają.

Jakie cechy warto więc rozwijać, żeby z młodego człowieka wyrósł szczęśliwy dorosły?

Otwartość na drugiego człowieka i umiejętność akceptowania ludzi takimi, jakimi są. Szacunek. I przede wszystkim rozmowę. Myślę, że bardzo brakuje nam rozmów.

ZUZANNA JARCEWSKA

Stworzenie

Brakuje nam przyjaciół, którym możemy powierzyć nasze tajemnice, niedoskonałości i słabości, wiedząc, że spotkamy się ze zrozumieniem. To powinno działać w obie strony. Na tym właśnie polega przyjaźń. I taka relacja daje siłę, żeby z radością i uśmiechem przeżyć kolejny dzień.

Gdyby mogła Pani dziś spotkać samą siebie z czasów młodości, co by Pani powiedziała?

Chyba przede wszystkim: idź za sercem. Cieszę się ze swoich wyborów. Cieszę się, że oprócz kierunku technicznego skończyłam również kierunek artystyczny. Każdy dzień mojej obecnej pracy jest inny. Poznaję nowych ludzi, mam nowe doświadczenia. Naprawdę uważam, że ciekawie przeżyłam dotychczas swoje życie. I mam poczucie, że jeszcze wiele ciekawych przygód przede mną. Dlatego młodemu człowiekowi powiedziałabym: pomyśl, co sprawi ci przyjemność. Co chciałbyś robić każdego dnia. I właśnie to wybierz.

Nie brzmi to trochę jak ryzykowna rada?

Może. Ale życie również jest ryzykiem. Nie wiemy, co wydarzy się za dwadzieścia czy trzydzieści lat. Tym bardziej nie warto całego życia podporządkowywać wyłączone finansom. Pamiętajmy, żeby to życie dobrze przeżyć.

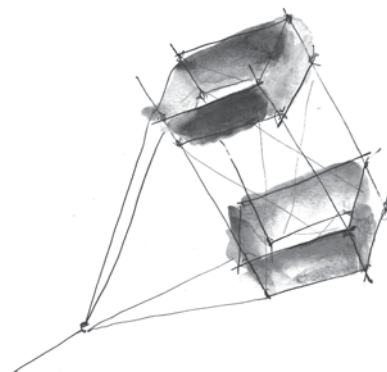
Czym jest dla Pani dorastanie?

Dorastanie to przygoda. Pełna ciekawostek każdego dnia. To etap, w którym możemy próbować i poszukiwać siebie, sprawdzać, co naprawdę nas interesuje. A jeśli coś nam nie pasuje albo coś nam nie wyjdzie, możemy to zmienić. To jest właśnie wyjątkowe w tym okresie życia. W młodości można jeszcze wiele rzeczy sprawdzić. Sama próbowałam bardzo wielu i ciągle miałam niedosyt. Czasami robiłam tak dużo, że do dziś zastanawiam się, jak wszystko mieściło się w jednej dobie. I może właśnie dlatego warto być aktywnym, próbować, tworzyć, spotykać ludzi. Kiedy młody człowiek ma różne zajęcia, mniej czasu poświęca na zamartwianie się światem. Bo współczesna młodzież bardzo wcześnie zaczyna myśleć o przyszłości. O tym, co będzie za dwadzieścia czy trzydzieści lat, o zmianach klimatu, o zanieczyszczeniu świata, o braku słodkiej wody. To są ważne problemy, ale kiedy pojawiają się zbyt wcześnie, mogą odebrać młodym ludziom poczucie, że przyszłość może być piękna. A przecież przyszłość można również tworzyć. Dlatego próbujemy. Szukajmy. Popętniajmy błędy. Zmieniajmy decyzje i nie marnujmy żadnego dnia. ■

Błoga pustka i ciepły prąd wód Hadesu otaczające maleńkie ciało, co lada moment zostanie upuszczone z boskich rąk. W nieświadomej opatrności dryfuje zawieszone w marazmie życia, którego jeszcze nie zna.

Aż nagle czuje. Nachodzi stworzenie świata. Gwałtem i wiatrem północy przedziera się przez pulsującą ciemność. Rozpościerają się mętne głębiny mojszowe, wydzierają tę harmonię naturalnej żeglugi. Niszczą wszystko, co znane, jak wzburzona fala uderzająca o brzeg. Otwierają się jak szczęki Cerbera, który spuszczone ze smyczy ujada i kąsa, a oczy jego rażą bólowym światłem. Za nim stąpa Prometeusz, syn Japeta, co unosi wysoko pochodnię żywego ognia, odślaniając nagą pierś. Oto nadszedł cud stworzenia. ■

ZUZANNA JARCEWSKA — Olsztynianka. Studentka filologii polskiej na UMK w Toruniu. Współtworzy profil na Instagramie o tematyce książkowej @bestie_s_książki. Marzy o tym, by móc zajmować się literaturą zawodowo — zarówno jako edytor, jak i autor.



JUSTYNA ŁUCJA pseud.

DZIEŃ OJCA

Uwielbiam tę fotografię, cały przedstawiony na niej świat zanika w swej realnej nierealności.

Lata siedemdziesiąte, jakaś impreza.

On i ja, ja i On.

Ja w wełnianych spodniach i wełnianej kamizelce, gruby warkocz scalony kokardą i kapelutek czerwony w białe grochy à la Muchomor. Na palcu prawej ręki pierścionek – a jakże – z błękitnym oczkiem (pamiętam go jak dziś).

On w szerokich spodniach tamtej epoki, koszuli w kratę i luźnej kurtce.

Nonszalancko, jak zawsze, trzyma w prawej dłoni papierosa.

On i ja, ja i On.

Rozmawiamy, a może bardziej ja mówię, a On jak zawsze słucha... Tłem dla nas jest bezimienny tłum ludzi – uczestników pokazu, których twarze nie widać.

Naszych twarze też nie widać, ale to nie jest ważne, ważne, że oboje już wtedy wiedzieliśmy, że łączy nas szczególna więź, uczucie wszechpotężnej miłości, która nie wymagała słów.

Miłości, która była i jest, choć Jego już nie ma...



DZIEŃ MATKI

Z tej okazji mocno archiwalna fotografia...

Data – 1974 rok.

Miejsce – gościnnie Elbląg.

Osoby:

Mama: lat dwadzieścia pięć, piękne naturalne czarne włosy, biała wełniana bluzeczka, spódnica „z koca” w zielono-brązowe romby i czerwone korale (które wówczas wydawały mi się niezwykle).

Ja: lat dwa, spodnie ogrodniczeki w różową kratkę, śliniak i mocne postanowienie wieloletniego terroryzowania bliskiej, dalszej i najdalszej rodziny odmową jedzenia czegokolwiek – stąd tyle moich zdjęć z tego czasu przy stole. Jej spojrzenie – całe życie tak właśnie na mnie patrzyła z uwagą i zachwytem...

(autorem zdjęć jest niezapomniany wujek Bolek Paulo, rodzinny pasjonat fotografii, dzięki któremu mam wiele pięknych kadrów z epoki dzieciństwa)



CZĘŚĆ 10.

Każdy, kto zna mnie dobrze, wie, że jestem „Królową lumpeksów”.

Co to są za emocje, co za radość, jaki reset w głowie. Najcudowniejsze jest to, że wchodzisz i nigdy nie wiesz, co kupisz, co wpadnie ci w ręce, co rzuci na kolana.

Uwielbiam, Kocham i nic na to nie poradzę...

To jest osobny świat, płaszcze minionych jesieni, babciowe pościelenie, często z wyszytymi inicjałami nowożeńców, bluzeczki z uśmiechniętymi guzikami, zabawki, na których tli się resztką koloru i odcisk pamięci dziecięcych dłoni, wełniane czapki, które przetrwały niejedną zimę i słyszały miliony ludzkich myśli, buty, których już nikt nie kocha, dziergane szale chcące nadal oferować ciepło i miłość... Cały ten zbiór gotów jest ponieść wysiłek jeszcze raz, ostatni raz i służyć człowiekowi do utraty tchu.

Kupowanie w lumpeksach jest dla mnie gestem zbawczego uczynku, ratowania przedmiotów i rzeczy, ocalania świata, którego już nikt nie chce. Są w tym emocje, historia bezimiennych poprzednich właścicieli i dobre myśli.

I właśnie w jednym z takich lumpeksów kupiłam konia na biegunach – ale od początku...

Pewnego pięknego dnia razem z przyjaciółką byłyśmy w Tczewie, oczywiście niejako przy okazji postanowiliśmy wejść do wszystkich lumpeksów mieszczących się w centrum miasta.

W jednym z nich, dużym, obfitym sklepie, pośród płaszczy zobaczyłam smutnego konika na biegunach. Biedaczyna miał wyrwany ogonek, wyszarpaną część grzbietu, na głowie irokeza z resztki szlifowanych włosów, a w oczach rozpacz.

Spytałam ekspedientkę, ile kosztuje. Pani odpowiedziała, że kiedyś był do sprzedania, ale teraz nie, bo bawią się nim dzieci przychodzące do sklepu.

– Bawią się czy maltretują... – odpowiedziałam złośliwie.

Ekspedientka była nieugięta i nie było mowy o kupnie konika.

Poszłyśmy dalej, ale w innych lumpeksach myślałam już tylko o tym, jak uratować tego biedaka...

Minęło pół dnia, wracałyśmy tą samą trasą, więc ponownie weszłam do tego sklepu i postanowiłam nie odpuszczać.

Tym razem użyłam całego swojego czaru i łez. Powiedziałam ekspedientce, że zapłacę cenę jaką poda (byłam gotowa na wszystko).

I nagle sklepowa powiedziała:

– No widzę, że jednak trzeba go Pani sprzedać... To może 10 zł?

Po chwili już obie z przyjaciółką targaliśmy ledwo żywego konia na biegunach, mijając zdziwionych mieszkańców Tczewa.

Niestety w domu na konia na biegunach miejsca nie mam, zatem towarzyszy mi w pracy, w biurze. Może kiedyś uda nam się zamieszkać razem...

Miałam plan szybkiego ratowania, obszywania go starym płótnem itp., ale póki co plan ten jest tylko w mojej głowie.

A konik? Wyznam szczerze, że grzeczniejszej istoty nie spotkałam, cichy, delikatny, milczący.

Spogląda czasami na mnie swoim bursztynowym okiem i wiem, że jest szczęśliwy.

CZĘŚĆ 13.

Mama była kobietą wyrazistą i jaskrawą.

Wyrazistą w poglądach, usposobieniu i istnieniu dla świata.

Jaskrawą w odwadze ubiorów i kreowaniu własnego wizerunku.

Po czasach na wskroś biednego dzieciństwa i sierniężnych lat młodości, po trzydziestce, w latach osiemdziesiątych, przyszedł dla Niej i dla Taty na chwilę dobry czas finansowy, a dla Mamy przy okazji czas kosmicznych eksperymentów z modą.

Pamiętam Jej czarne lakierowane kozaki, zamszowe botki wyszywane w kwiaty, płonące srebrną poświatą włosów futro z dużym kołnierzem, różowe marynarki, czarne i srebrne bluzki z obfitymi poduszkami na ramionach, złote spodnie ze sztucznej skóry. Pamiętam zapach rózu na policzki firmy Bourjois, kupowanego w Pewexie, którego używała z upodobaniem.

Pamiętam cekinową kamizelkę, mieniającą się blaskiem światła, zakładaną przez Mamę na ważne rodzinne wydarzenia.

I właśnie w latach osiemdziesiątych, do teźże kamizelki Mama nosiła zestaw z Jablonexu, który tworzyły kolczyki i naszyjnik.

Kto nie żył w latach osiemdziesiątych, ten nie wie, co znaczył Jablonex. Jak ta biżuteria migotała, jak te „niby brylanty” odważnie stawiały czoło światu.

Jablonex czarował, mamił, zwodził, czyniąc ówczesne kobiety „królowymi jednej nocy”.

Gdy patrzę na czarno-białe zdjęcia Mamy z lat osiemdziesiątych, jak zdołna w Jablonex uśmiecha się do migawki aparatu, wiem, że była szczęśliwa.

W latach dziewięćdziesiątych Mama zaczęła nosić zestaw z Jablonexu wyłącznie w Wigilię, co stanowiło formę rodzinnego rytuału, tak jak ciasto makowe czy ryba podawana na półmisku z granatowego szkła.

Bez Jablonexu nie było świąt...

Kolczyki zaś i naszyjnik były zawsze tą samą biżuterią, zdobiącą tę samą kobietę, której však ubywało lat...

Gdy w 2020 roku Mamy zabrakło na Wigilię, naszyjnik z Jablonexu założyłam ja i robię to dalej każdego roku.

Jablonex trzymam w małym chińskim pudełku i czasami zaglądam do jego wnętrza, by blask brylantów przypominał mi czasy „gdy wszystko było możliwe”... ■

BARBARA MACIOŁEK

Sonety

Cykl trzech sonetów tworzących spójną całość. Całość znaczeniowa układa się w opowieść o kolejnych etapach dorastania i dojrzewania młodej istoty. Każdy z sonetów można postrzegać jako odrębną opowieść – kadry i zadry z okresu szkoły podstawowej, gimnazjum i liceum.

I.

W sztruksowych spodenkach
Biegała lekko jak aniołek. W beztroskim
uśmiechu, trochę szczerbatym,
Umazanym od czekolady, w iskierkach

Psotnych, gdy schowała dziadka okulary,
A później o nich zapomniła.
Za cały świat wystarczyła jej huśtawka,
Leszczyna i chyląca się ku ziemi papierówka.

—Że będzie piosenkarką krzyknęła i pobiegła.
Nigdy nie chciała stać na scenie, za kanapą
Ukryta projektowała stroje dla innej siebie.

Niektóre wersje siebie jak burza odległa.
Czasem strach zaciskający swą łapą
Spójną całością jest podobna do siebie.

II.

Siedziała w jeansach, słuchawki splątane
Przysposobione brzmienia z pobranych.
Podsluchane nowości i wychwycony
zachwyt nakładający nowe wartości jak

Czapkę niewidkę. Pokruszone, odłamki
trzaskają pod stopami. Zawsze wiedziała
Kim chciała być, jednak w lustrzanej tafli
Nie poznawała swojego odbicia.

Często czuła radość, potrzebowała
Czuć więcej, potokiem kreacji wizerunku
Gdzie wszystkie wrony takie same.

Często czuła zbyt wiele, potrzebowała
Czuć w bezpiecznej przestrzeni, gdzie
Wartką odmienność naświetla reflektory.

III.

Przechadzała się, a pstrokaty materiał falował
Jak flaga niebezpiecznie, ostrzegając
Nie było już kilku pobranych dźwięków, wędrujących
po kablu w górę, dźwięki płynęły wartkim nurtem.

Siłą trzymała jej głowę na powierzchni
Płytkie oddechy zagłuszały bezkarną
Walkę o autonomię. Pozornie wygrana
z rękami spętanymi, szła swoją drogą, lecz

Nie potrafiła utrzymać równowagi.
Podtapiająca ją samodzielność kładła
Się cieniem na dźwiękach orkiestry

Kameralnej, bo nigdy nie chciała stać
Na scenie. Chciała dyrygować zza kulis
Każdy takt i gest wskazuje. Zza kulis.

OLIWIA JAROŃ

Wiersze

DZIECKO WEWNĘTRZNE

we śnie
Nike plotła mi warkocze z uśmiechem,
śpiewając piosenki o wojnie
głosem słodkim jak miód –
szyby spłynęły miodem,
cały świat spłynął miodem

i uwierzyłam

że nawet na wojnie – rzeki, doliny, krajobrazy
mogą być rozkoszne i naiwne jak dziecko,
co ma zawsze zapach lata w jednym nozdrzu,
naiwne dziecko, co wpycha kwiaty do łuf,
naiwne dziecko, co śpiewa o pokoju,
niech więc wszystko spłynie miodem
we śnie

GWIAZDY

Spoglądam na gwiazdy
mają blond włosy
i patrzą na mnie
z firmamentów ścian

Kiedys będę jedną z nich
w końcu składamy się z tych samych
pierwiastków
i podoba się nam
ten sam księżyc

Dziś kręcę się na orbicie
odtwarzacza CD
wciskam „cofnij”

HEL(L)

w upalny dzień w lipcu 2002 roku
zastanawiałam się czym jest człowieczeństwo
przy akompaniamencie fok na krańcu Polski

grzebałam w piasku w poszukiwaniu bursztynów
nigdy żadnych nie znalazłam
przykładałam muszlę do ucha
nigdy nie słyszałam syrenich opowieści

foki próbowały odpoczywać na plaży
gdy gapie chcieli je karmić resztkami jagodzianek
wyciągali do nich ręce z Kodakami
wołali je jak koty

foki miały zmęczone oczy
bardziej ludzkie niż źrenice cyfrowych aparatów

ANDREJ KOSTINSKIJ z języka ukraińskiego przełożył Krzysztof D. Szatrawski

Wiersze

SŁOWO SŁÓW

1
słowa przeczytanej książki
czyszczą litery introligatorską nicią
z dotknąć wzroku człowieka
niczym dentystyczna nić

2
introligatorska nić nieprzeczytanej książki
zaciska się w pętlę
dla autora

3
najlepszy dźwięk dla książki –
szelest
gdy ją po raz pierwszy
otwarto

4
makulatura z klasyków
daje życie współczesnym

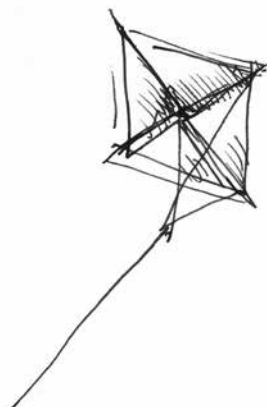
czyżby rzeczywiście
współcześni mogli dać życie,
nawet nie stając się klasykami,
klasykom przyszłości?

5
jeszcze nigdy nie było
takiej armii
bagnetów ze słów –
jest ona zaopatrywana przez tych,
których słowa nie są we krwi
lecz są pokrewne,
i mają wspólny rdzeń

era bagnetów minęła,
ale wciąż tylko dla nich
dostarczane są słowa

TAPETA

na starą tapetę,
która spijała światło
3652 słońc
i mrok 3651 nocy,
nakleilem nową,
między dwiema warstwami papieru
grzebiąc 10 lat



ANDREJ KOSTINSKIJ – poeta z Charkowa, autor książek „Юголь”, „ЛІ”, „НЕТІЕТ”. Publikował w czasopismach i antologiach „Interpret”, „128 lit”, „Poémame”, „ROAR”, „Зеркало”, „World Literature Today”, „Mantis”, „Вестник Европы” i „Кінець світа не będzie”.

* * *

klucz żurawi
jak suwak otwiera niebo

nad wersem horyzontu
nad O-pagórkami
niczym znaki akcentu
pochylają się z wiatrem
drzewka

ptasiego klangoru szuka
beztwarzowy tamborek księżycy –
by wyhaftować obraz
niepowrotu

nie nadąża

[można powrócić do tego
kto odsyła samego siebie
dla odbicia w echu

w przeciwnym razie]

nienarodzone echo
blokuje
rozchodzący się
suwak nieba
niczym akcenty drzew –
32 października

* * *

plomień świecy
bił jak ryba
o noc

rozchyłał wargi
tykając spalał
powietrze

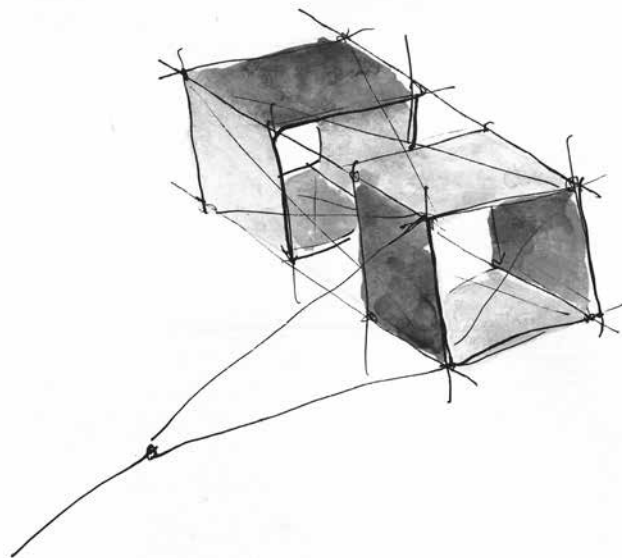
cienie-wodorosty
rzucali na ściany

i przywierały cienie
by spłynąć
na dno
pokoju
kiedy

kiedy

kiedy odpłynie ryba
kiedy odleci ryba
porzuciwszy
swą istotę
i stanie się ptakiem

plomień świecy
rzucił się jak ptak
o ...



Rys. Joachim Martusewicz

MARTA LESZEK

Frajdą w galerii. Dzieci i sztuka współczesna

Kolejne galerie sztuki współczesnej otwierają się na wizyty najmłodszych. To zresztą zupełnie instynktowny krok, bo na różnych płaszczyznach przestrzeni sztuki przenika się z przestrzenią zabawy.

MIEJSCE KULTURY, MIEJSCE ZABAWY

Zdarza się, że w czasie prezentacji niektórych ekspozycji (i to nie tylko tych dedykowanych typowo dzieciom!) sala galeryjna przypomina momentami plac zabaw albo strefę społecznej aktywności, integracji i relaksu. Kluczowe jest tu między innymi projektowanie i aranżowanie przestrzeni w taki sposób, by skracać dystans, dawała poczucie komfortu oraz swobody, która umożliwia pełne poznanie części prac. Takie rozwiązania jak miękkie dywany i pufy, wygodne meble i miejsca, które nie są jedynie przestrzenią do oglądania, ale także do rozmowy i pełnego obcowania ze sztuką poprzez zaangażowanie różnych zmysłów, ułatwiają polubienie się z galeryjnymi realiami od najmłodszych lat. Nie chodzi bowiem o zachowanie idealnego porządku i sztywnego układu. Zamiast tego jest pole do eksploracji i uwalniania pomysłowego potencjału. Dziecko może dotykać, przekładać, czasem współtworzyć prace, innym razem nawet wchodzić do ich wnętrza albo na przykład oglądać je na leżąc. Inną, angażującą i zbliżającą do sztuki praktyką, jest organizowanie warsztatów i działań performatywnych bezpośrednio między ekspozycją lub z jej czynnym wykorzystaniem. Interaktywne propozycje i korzystanie z potencjału całej przestrzeni budynku pobudzają wyobraźnię i zachęcają do aktywnego oglądania prac, ale też do poznawania galerii jako miejsca. To odwrócenie sytuacji, w której wizyta na wystawie kończy się edukacyjną ekspozycją, spotkaniem lub zajęciami. Instytucja staje się przestrzenią otwartą na ruch, własne ścieżki zwiedzania, wybór i współuczestnictwo. Takie podejście naturalnie rozwija kulturalne kompetencje, oswaja instytucje kultury i buduje nawyk uczestnictwa w życiu artystycznym i kulturalnym – bez obaw, dystansu i rezerwy, za to z ciekawością, otwartością i chęćmi na to, co nowe, czyli dokładnie z tym, co wspólne i ważne zarówno w sztuce, jak i w zabawie.

GALERIA FAMILY-FRIENDLY

Wśród galerii sztuki współczesnej, które otwierają się na odwiedziny małych odbiorców można wskazać między innymi warszawską Zachętę i CSW Zamek Ujazdowski, a także BWA w Olsztynie, Bielsku-Białej czy Wrocławiu oraz wiele innych, mniejszych placówek. W wielu z nich nie chodzi nawet o samo regularne włączanie do programu wystaw lub zajęć dedykowanych dzieciom, lecz także o dostosowanie instytucji do wizyt z najmłodszymi – również podczas wydarzeń ogólnodostępnych, kierowanych do odbiorców bez względu na wiek. Jak to się dzieje? Pomocne są swobodne ścieżki zwiedzania, miejsca do siedzenia i relaksu, które umożliwią dłuższe obcowanie ze sztuką, aktywizujące materiały, łączenie percepcji z działaniem twórczym, ożywianie przestrzeni i, co najważniejsze, traktowanie dzieci jako pełnoprawnych odbiorców prac, mających swoje spostrzeżenia, pytania, potrzeby i pomysły na poznawanie poszczególnych dzieł.

ŁADNE RZECZY, CZYLI DIZAJN DLA DZIECI

Zwrot ku młodym odbiorcom jest widoczny także w prezentacji projektów z zakresu sztuki użytkowej i dizajnu. Artystki i artyści coraz chętniej tworzą z myślą o dzieciach. I tak powstają dedykowane im mobilne meble, akcesoria, kreatywne zabawki i łamigłówki, które łączą bezpieczeństwo i funkcjonalność z walorami estetycznymi oraz wysoką jakością materiałów – na przykład ekologicznych, pochodzących z recyklingu albo przyjaznych sensorycznie. Są wśród nich wciągające, interaktywne książeczki, rzemieślnicze lalki i domki dla nich, wygodne stołki i stoliki, mądre gry, karty, maty i plansze, a także piękne dekoracje i plakaty do dziecięcych pokoi – i wiele, wiele więcej! Mogą stanowić ekspozycję dającą się testować, wypróbowywać, dotykać, układać i używać, a z czasem także zasilać strefy instytucji i miejsc kultury jako ładne, praktyczne i unikatowe rozwiązania. W ten sposób sztuka wzornicza staje się bliska jak nigdy dotąd. To też doskonała inspiracja dla wszystkich opiekunów – wystawy dizajnu dla dzieci są kopalnią pomysłów na wspaniałe prezenty i okazją, by zabrać sztukę użytkową do domu! ■

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

FESTIWAL SONIKALIA – JAREK KORDACZUK

SONIKALIA to festiwal sztuki dźwięku dla dzieci, który zachęca najmłodszych (i tych trochę starszych) do słuchania, tworzenia, odkrywania i odczytywania świata poprzez dźwięk. Swoją pierwszą edycję miał w 2019 roku pod hasłem „Którędy do dźwięku”.

Muzykę się słyszy lub tworzy – to wiemy. Przy muzyce można się bawić – to też oczywiste. A czy w muzykę można się też bawić? Jak to rozumieć? W ciągu kolejnych edycji festiwalowych podczas warsztatów sprawdzamy, czy zawsze jest potrzebna znajomość nut, żeby przeczytać partyturę, poznajemy instrumenty muzyczny np. taki, po którym można chodzić, i korzystając ze specjalnych map szukamy zaginionych dźwięków. Podczas koncertów udajemy się na wędrowkę przez konstelacje słowno-muzyczne, poznając przy tym różne formy muzyczne od piosenki poetyckiej, przez arie operowe po hip-hop.

Prezentowane są na SONIKALIACH różnorodne sposoby funkcjonowania dźwięku jako składowej dzieła muzycznego. W doborze wydarzeń festiwalowych duży nacisk kładziemy na ich interaktywność. Propozycje programowe dobrane są tak, by zapewnić maksymalnie aktywne uczestniczenie dzieci we wszystkich artystycznych działaniach festiwalowych (warsztaty, interaktywne koncerty i instalacje, improwizacje, współtworzenie struktur dźwiękowych, formy zabawowe). Nie bez znaczenia jest również stosowanie formuły zabawowej. Głównym miejscem wydarzeń są sale i przestrzenie olsztyńskich instytucji kultury od Zamku Kapituły Warmińskiej przez Zajezdnię Trolejbusową, Filharmonię i Teatr Lalek po sale Miejskiego Ośrodka Kultury i Galerię Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, oferujące dużą różnorodność klimatyczną i akustyczną – tworzą unikalną, dźwiękową mapę miasta. Organizatorzy przywiązują szczególną wagę, by wszystkie wydarzenia odbywające się

w ramach festiwalu były dziełami o jak najwyższej wartości artystycznej. Program festiwalu, nie stroniąc od dzieł już sprawdzonych, bazuje jednak na utworach premierowych. Festiwal traktuje swoich uczestników jako pełnoprawnych odbiorców sztuki, czyli unika „infantyilizacji”. W myśli idei festiwalu dzieci mają takie same kompetencje w odbiorze sztuki (w szczególności muzyki) jak dorośli, ogromna różnica tkwi przede wszystkim w doświadczeniu. Tę właśnie różnicę festiwal chce krok po kroku niwelować w taki sposób, by naturalne zaciekawienie światem dźwięków z przyjściem dorosłości nie malało.

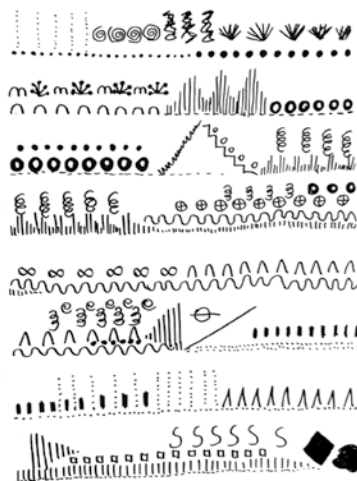
W ubiegłorocznym programie festiwalu dźwięk prowadził przez lasy, powietrze i gwiazdy. Wędrując w rytmie dawnych melodii, wstuchiwaaliśmy się w opowieści zakłęte w naturze. Sposoby zapisywania muzyki stały się laboratorium wyobraźni, w której fortepian przemawia nowym językiem, dźwięki rywalizują w przyjaznej bitwie rytmów, a mali twórcy z każdym narysowanym symbolem stawali się kompozytorami.

Konkurs tworzenia partytur graficznych zorganizowany dla szkół, przedszkoli i grup pn.: *Eksploratorzy Partytur* przyniósł niesamowite efekty w postaci stworzonych przez dzieci graficznych partytur, inspirowanych nawet zawodowego muzyka,

wizualnie atrakcyjnych i o dużym stopniu adekwatności do utworów. Te niezwykle, graficzne partytury można było oglądać w Galerii Stary Ratusz WBP w Olsztynie.

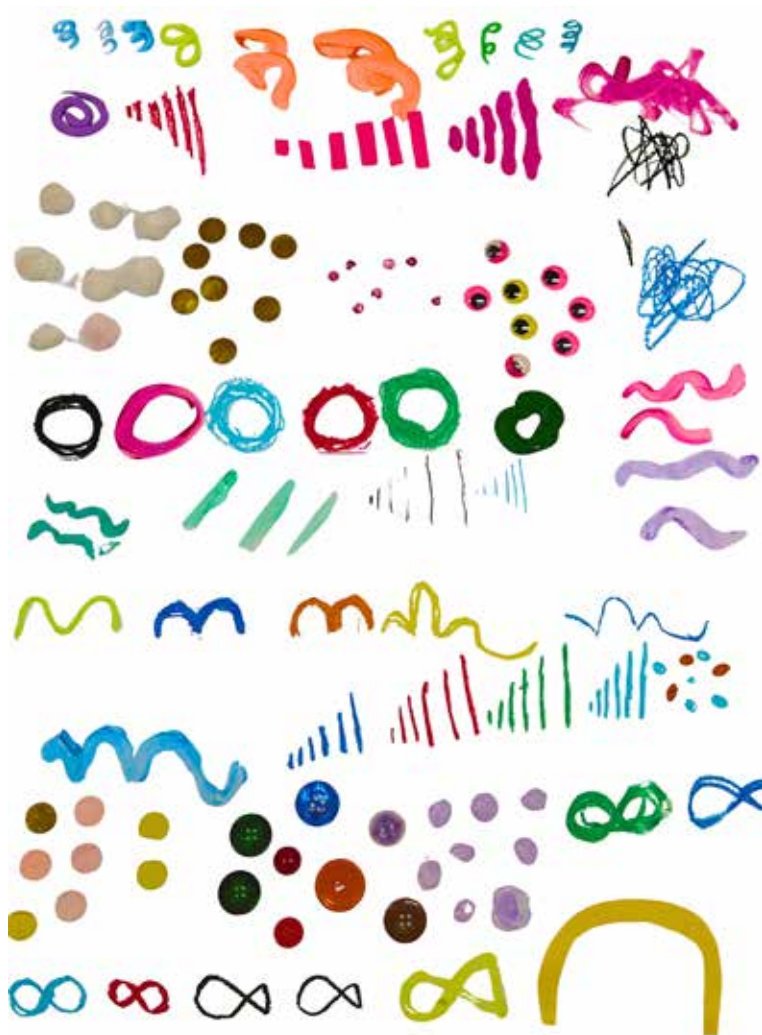
Kolejna edycja festiwalu Sonikalia przed nami. Gdzie zaprowadzi nas tym razem dziecięca wyobraźnia zobaczymy już wkrótce. ■

SONIKALIA 2026 | ECHO | 1-4.10.2026 | OLSZTYN



SONIKALIA

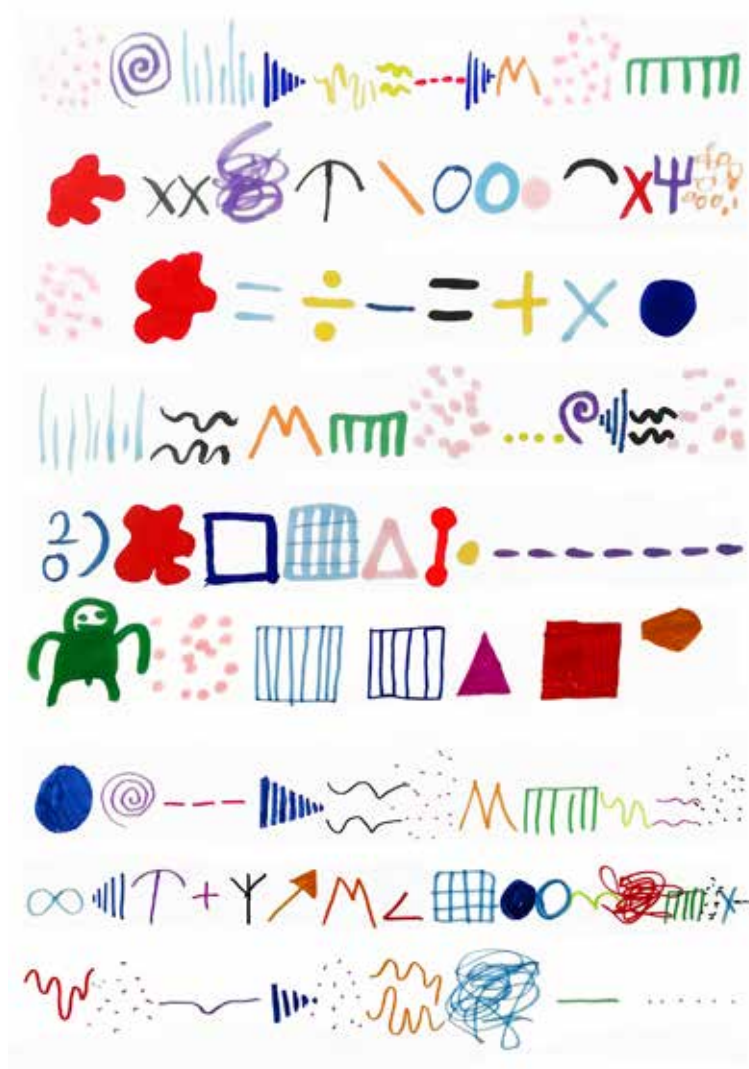
Eksploratorzy Partytur



Szkoła Podstawowa Nr 19 – kl.3b, 2025



Przedszkole nr 2 Dywity – Świetliki, 2025



Fenomenalna Niepubliczna SP – kl.6, 2025

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Kto to pamięta?

POCZĄTEK

Na początku powstania wszystkiego, co nie było chaosem, w beczasie, gdy wszystkim był tylko chaos, Wielkie Niewidzialne Oko przymknęło się raz – i gdy się otworzyło, chaos rozdzielił się w wielkiej eksplozji na światło i ciemność, materię i energię, ruch i bezwład, zero i jeden. I to, co było jeden, natychmiast zaczęło tworzyć ciągi, a to, co było zerem, zaczęło je rozdzielać i różnicować, i energia zaczęła rozrywać materię, a materia popychać energię, i ruch zaczął się siłować z bezwładem, a bezwład przeciwdziałać sile, i światło zaczęło przenikać ciemność, a ciemność zamykać światłość. I chaos ich nie ogarnął.

A Wielkie Oko patrzyło, bo widziało, że wszystko, co się multiplikuje i rozdziela, i różnicuje, i rozdziera, i popycha, i się siłuje, i przeciwdziała, i przenika, i zamyka, jest bardzo dobre.

I wtedy powstał bezlik gwiazd, planet, księżyców, komet, planetoid i meteoroidów, a wszystkie one zaczęły mknąć, spadać, przyciągać się, zderzać, rozpadać i wirować, wypełniając sobą czarne dziury i tworząc z nich obiekty ostateczne, aby eksplodować w nich bez końca i bez początku, kreując tak światy alternatywne jak i jednoznaczne. A na jednym z globów wirujących i spadających wokół jednej z gwiazd, wirującej i spadającej wewnątrz jednej z galaktyk, aktywowany bezmiarem wewnętrznego i zewnętrznego ognia bezmiar wód dał miejsce bezmiarowi ziemi, aktywując bezmiar powietrza. I chaos ich nie ogarnął.

A Wielkie Oko patrzyło na całe makro razem i na wszystko, co mniej niż mikro

osobno, bo widziało, że wszystko, co mknie i spada, i przyciąga, i zderza, i rozpada, i wiruje, i wypełnia, i tworzy, i eksploduje, i kreuje, i aktywuje i daje miejsce, jest bardzo dobre.

I wtedy to, co było bezmiarem ładu zaczęło wizualizować w sobie niewidzialny Atlas Ziemi Jeszcze Niepowstałych a Wkrótce Istniejących i szykować się do wyboru kształtów, które – w ich miarach – wkrótce miały osiągnąć. I zaczęły, śniąc, lepić nowe przestrzenie, których nazwy potem stały się ważne i nieważne dla bytów tak małych, że Wielkie Oko patrząc na nie musiałyby się natężyć, choć nic nie musi: Vaalbara, Kenorland, Nuna, Rodinia, Pannotia, Pangea, Laurazja, Gondwana, Wielka Adria, Argoland, Zelandia, Afryka, Azja, Antarktyda, Kaapvaal, Pilbara, Laurentia, Baltica, Kraton Kalahari, Siberia, Patagonia, Alaska, Rub al-Chali, Zululand, Gobi, Pendżab, Kapadocja, Mandżuria, Joruba, Outback, Bawaria, Śląsk, Toskania, Małopolska, Warmia.

A Wielkie Oko patrzyło, bo widziało, że wszystko, co śni, powstaje, zmienia się, rozplywa, krzepnie i rozpycha, jest bardzo dobre. I przymknęło się znowu, bo w nieopisanym i nieokreślonym czymś, co u innych istnień można by nazwać decyzją, zechciało – i się stało. Vaalbara zapowiedział ziarno. Nuna zapowiedziała tarczę. Pannotia zapowiedziała meduzę. Laurazja zapowiedziała orła. Wielka Adria zapowiedziała delfina. Azja zapowiedziała żubra. Kapadocja zapowiedziała rysia. Toskania zapowiedziała winne grono. Warmia zapowiedziała baranka. I było to bardzo dobre, i będzie do momentu póki chaos ich nie pochłonie.

Anna Rau

COCKTAIL

Nie pamiętam, gdzie był ten saturator z wodą sodową i sokiem malinowym, wydaje mi się, że mógł być to Gdańsk albo Sopot i droga na plażę. Pamiętam za to smak tego przyjemnie słodkiego i chłodzącego napoju. Różowe bąbelki do dziś musują mi gdzieś na podniebieniu.

Dzieciństwo w Morągu miało smak lodów truskawkowych z budki prowadzonej przez Bojarskich, później pojawiła się – już bardziej w parku – lodziarnia, w której sprzedawano świderki czekoladowe i lody włoskie. Z domu wybiegało się z pajdą chleba posmarowaną masłem i posypaną cukrem. Jedna z sąsiadek częstowała kogłem-mogłem. Do drugiej pani wpadało się po lemoniadę, zrobioną z kwasku cytrynowego rozrobionego z cukrem w wiadrze wody. Piliśmy ją w przerwach między grą w palanta a graniem w gumę, prosto z chochli. Pani Papieska piekła i dekorowała maślanymi różami torty, które czekały na swoich klientów na strychu ponie-mieckiej kamienicy przy ulicy Pułaskiego. Co do tortu, to niezapomniany incydent miał miejsce u cioci na urodzinach – wystawiony do chłodnego przedśionka tort został pożarty przez Sabę, bokserkę innej cioci.

Za naszymi domami znajdowały się sąsiedzkie ogródki, oddzielone wąskimi ścieżkami. W czasie zabaw w chowanego bieгло się tam i podjadało groszek, porzeczki czy agrest. Siedząc na drzewach, jedliśmy wiśnie i śliwki. Gdy któraś z cioć przeprowadziła się kilka domów dalej, oferowała najlepsze na świecie kanapki z ogródkowymi pomidorami i cebulką. Podobno, gdy byłam pękatą dwulatką, potrafiłam

zjeść kilka talerzy zupy pomidorowej, prosząc wciąż o dokładki – taka była relacja wujka, który, śmiejąc się, uzupełniał talerz. Nie lubiłam natomiast przedszkolnego budyniu, jedynie wychteptywałam sok malinowy z powierzchni.

Jak tak piszę o smakowaniu, to właśnie wjechały na stół kołduny mojej babci. Wycinane szklanką krążki zapelniały cały blat kuchennego stołu. Wypełniane mielonym mięsem i zlepiane zręcznym ruchem palców potem gotowały się, by szybko zniknąć w naszych brzuskach. Kołduny były domowym rytuałem. Za to ucierana babka była tylko na święta, najlepsza jeszcze w formie surowego ciasta wylizywanego z makutry i pałki.

Wracając z podstawówki, za drobniaczki kupowało się kakao i oranżadkę w proszku, sprzedawane w torebeczkach, których słodką zawartość wsypywało się bezpośrednio do buzi. Jednym z najbardziej charakterystycznych smaków tamtych lat była także oranżada, koniecznie czerwona, pita z butelki albo ze szklanek z truskawkowym nadrukiem.

Na koniec deser, letnie ciasto mojej prababci Konstancji – biszkopt z galaretką i truskawkami.

Żegnając się z Morągiem w wieku 10 lat, wypełniłam swoje podniebienie nowymi smakami – kremu sułtańskiego, wuzetek i pączówek w olsztyńskim Cocktail Barze. Potem to już inna historia...

Smaczne to dzieciństwo było...

Iwona Bolińska-Walendzik

JAN ROSŁAN

Tadeusza Borowskiego związki z Olsztynem

Jest dość znane zdjęcie, zrobione w Olsztynie w czerwcu 1946 r. przedstawiające Tadeusza Borowskiego idącego z matką Teofilą i bratem Juliuszem. Mają radosne miny. Matka trzyma rękę pod ramieniem Tadeusza, który w dłoniach ma jakieś papiery. Juliusz trochę oddalony od nich. Ta fotografia w jakiś symboliczny sposób oddaje relacje matki do dwóch synów. Zachwyt Tadeuszem i rezerwę do Juliusza. Została ona także zamieszczona w najnowszej książce Marty Byczkowskiej-Nowak „Nieocalony. Tadeusz Borowski. Biografia” wydanej w roku ubiegłym przez Znak Literanova.

Wydano już kilka książek indywidualnych i zbiorowych o Tadeuszu Borowskim, ale wszystkie dotyczyły analizy jego twórczości i polemik, jakie ona wzbudzała. Nie będę pisać recenzji z obszernej (ponad 500 stron) i jak do tej pory jedynej biografii Borowskiego, ale odwołując się czasem do tego dzieła, chcę skoncentrować się na związkach Borowskiego z Olsztynem.

W roku 1945 Teofila i Stanisław Borowscy z synem Juliuszem przeprowadzili się do Olsztyna, gdzie otrzymali trzypokojowe mieszkanie przy ul. 22 Stycznia. Juliusz znalazł pracę jako inspektor rad narodowych na okręg mazurski, Stanisław wreszcie powrócił do pracy biurowej, zostając księgowym w Olsztyńskim Związku Pracowników Rolnych i Leśnych. Tadeusz z Auschwitz został przetransportowany do Dachau, a po wyzwoleniu obozu przez Amerykanów przebywał w Monachium, skąd stał listy do rodziny i usilnie starał się odszukać Marię Rundo, która wreszcie odnalazła się w Szwecji.

Rodzina Borowskich wywodziła się z Żytomierza. Ojciec był księgowym, a matka zajmowała się krawiectwem. Była niezwykle odcytana. Pierwszy syn, Juliusz, przyszedł na świat w roku 1918, rok po ślubie, a cztery lata później, 12 listopada, urodził się Tadeusz. Juliusz otrzymał imię ze względu na fascynację matki twórczością Juliusza Słowackiego, Tadeusz – ze względu na Tadeusza Kościuszkę. Jednak to Tadeusz stał się znanym pisarzem, a Juliusz zawodowej kariery niestety nie zrobił ze względu na chorobę psychiczną. Kiedy w roku 1922 powstał Związek Radziecki, Żytomierz znalazł się w nim jako ukraińska republika związkowa.

W roku 1926 Stanisław Borowski został aresztowany przez NKWD, oskarżony o szpiegostwo na rzecz Polski i osadzony w gułagu na Karelii, gdzie budował Kanał Białomorski. Cztery lata potem NKWD aresztowało Teofilę Borowską. Została skazana dożywotnio na pobyt w syberyjskim gułagu nad Jenisejem, gdzie z mężczyznami pracowała przy wycince lasu. Życie uratowało jej to, że umiała szyć i stąd traktowano ją bardziej życzliwie. Juliusza skierowano do szkoły z internatem, a Tadeuszem zaopiekowała się ciotka mieszkająca pod Żytomierzem. W wrześniu 1932 roku w ramach wymiany więźniów politycznych pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim Stanisław Borowski został uwolniony z obozu. Jego synowie z Żytomierza musieli jechać aż do Moskwy, aby tam załatwić dokumenty pozwalające im na przyjazd do ojca do Warszawy. Julek miał wtedy lat 14, Tadeusz – 10. Po roku dołączyła do nich Teofila, także zwolniona w ramach wymiany więźniów. Ojciec przyszłego pisarza znalazł pracę jako robotnik, później jako magazynier w największym przedsiębiorstwie warszawskim, którego współwłaścicielem był Stanisław Wilhelm Lilpop, teść Jarosława Iwaszkiewicza. Rodzina żyła biednie i chłopcy znaleźli się w warszawskiej bursie prowadzonej przez franciszkanów. Tadeusz zdał maturę i zaczął studiować polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, a Juliusz studiował na politechnice.

Czas wojny to dla Tadeusza tajne komplety, poznanie przyszłej żony Marii, pisanie wierszy, potem Pawiak i Auschwitz, gdzie trafił razem z Marią. Nawet czasem się tam spotykali, choć odwiedzanie kobiet w barakach przez mężczyzn było zabronione. Kiedy Maria trafiła do obozowego szpitala, Tadeusz ją tam odwiedzał. Szczegółowo opowiedziała o tym w wywiadzie, którego udzieliła Tadeuszowi Prusińskiemu, zamieszczonym w „Polityce” nr 25/2001. Po wojnie Maria nie chciała wracać do Polski, choć w Szwecji, gdzie pracowała jako pielęgniarka także być nie chciała. Planowała wyjazd do Francji. Tadeusz zdecydował się na powrót do kraju, listownie pożegnał się z Marią, która jednak wróciła do niego. Gdy tylko przybył do Warszawy w połowie 1946 r. napisał list do matki, aby go odwiedziła w stolicy. On także przyjeżdżał do rodziców i brata w Olsztynie.

Najważniejsza pod względem psychicznym wizyta odbyła się, gdy przyjechał z Marią i przedstawił ją jako narzeczoną. Ojciec i brat byli przeciwni temu małżeństwu, ale

osobą dominującą w rodzinie była Teofila. Ona orzekła, że takiej miłości, która przetrwała najtrudniejsze czasy, nie można zdławić.

Matka gromadziła wszystkie listy, które otrzymywała od syna, a Juliusz zbierał drukowane w prasie artykuły, opowiadania, wiersze i wszystkie prasowe wzmianki o bracie. Matka jeździła do syna, przywożąc mu węgorze, świeże owoce i inne wiktuały. Tadeusz czasami skarżył się, że domowego życia z rodzicami prawie nie miał, bo byli na Syberii, później oddali synów do internatu, a z czasem wyprowadził się od nich. Może troską o dorosłego już mężczyznę chcieli nadrobić niedostatki wychowawcze z dzieciństwa. W liście do Marii Tadeusz stwierdził: „Bardzo mi ciąży miłość rodziców i przyjaźń ludzka”.

Tadeusz Borowski po wydrukowaniu opowiadań oświęcimskich w „Twórczości” stał się sławny. Jedni byli zachwyceni zwięzłością stylu i emocjonalnym chłodem w opisie rzeczywistości, drudzy zarzucali narratorowi (przenosząc również te zarzuty na autora) brak empatii i wartościowania opisywanych wydarzeń, a czasem wręcz cynizm. Pisarz angażował się politycznie, publicznie deklarował swój ateizm i w propagandowych artykułach atakował Kościół. Zabolalo to ojca pisarza, i wprost napisał do niego w maju 1948 r., że chciałby go nazwać „Świnia przez duże Ś”. W tym liście stwierdza: „Nie jestem dewotem, ale mnie śmieszy, że byle chłystek powącha trochę szkoły i myśli, że już świat opanował, a ja Wam wszystkim mówię, że jesteście głupi”. Tadeusz odpowiedział ojcu: „Nie myślę, Tatuśku, aby Twój ostatni list był sprawiedliwy, wiedziałeś przecież od dawna, że nie jestem wierzący”. Na kopercie tego listu matka dopisała: „Najukochańszy syn tak delikatnie wytłumaczył ojcu błędne rady”. Listy Tadeusza Borowskiego do rodziców, do Marii i innych osób opublikował w roku 2001 Tadeusz Drewnowski pod tytułem „Niedyskrecje pocztowe. Korespondencja Tadeusza Borowskiego”.

Borowski im dłużej uprawiał publicystyczną propagandę, uczestniczył w partyjnych zebraniach, wyjeżdżał w teren, aby poznawać prawdziwy robotniczy i wiejski proletariatus, tym mniej czasu poświęcał literaturze. Będąc na placówce dyplomatycznej w Niemczech, potępił swoją dotychczasową twórczość literacką, w tym opowiadania oświęcimskie, gdyż nie ukazał w nich toczoną w obozie walki klasowej.

Marta Byczkowska-Nowak sięgnęła do wspomnień więźniów, członków Polskiej Partii Robotniczej i od siebie stwierdziła, że oni „uzgadniali sposoby uświadamiania klasowego więźniów oraz szerzenia wśród nich ideologii PZPR”. Cóż za antycypacja, czyli więźniowie Oświęcimia już wiedzieli, że za kilka lat powstanie PZPR

i szerzyli jej ideologię? Stwierdziła też, że działalność Stalina spowodowała, iż jego „ofiary można liczyć w setkach tysięcy ludzi”. Ofiary Stalina to miliony osób. Z powodu wywołania głodu na Ukrainie zmarło tam od dwóch do trzech milionów ludzi.

Autorka biografii Borowskiego za „najbardziej demagogiczne opowiadanie” uznaje „Kłopoty pani Doroty albo śmierć frajerom” opublikowane w „Nowej Kulturze” (nr 13 i 14/1950), które powstało „na podstawie procesu sądowego w Olsztynie”. Przeczytałem to obszerne opowiadanie, którego akcja dzieje się w mieście wojewódzkim B. Żadnych odniesień do Olsztyna w tym utworze nie odnajdziemy. W miasteczku B. rządzi pan Stasinek, prezes związku zawodowego, który handluje na lewo, pisze fałszywe sprawozdania, itp. Do miasteczka przyjeżdża młody prokurator: „Roboty miał sporo i wsadzał, aż się kurzyło”. Prokurator wsadza prezesa do więzienia, a „sąd doraźny skazał pana Stasinika na karę śmierci; z prawa łaski nie skorzystano; wyrok został wykonany. Od Autora: A teraz towarzyszu prokuratorze, dawajcie następną sprawę” – tak skończył się ten utwór. Oczywiście autor chyba musiał zapomnieć o swojej najwcześniejszej twórczości poetyckiej, kiedy pisał: „Komuniści to są kłamcy, którzy okłamują lud”. Czy Borowski nie był świadomy fasadowości tych procesów, które chętnie relacjonował? Gdy zaaresztowano jego przyjaciela, Czesława Mankiewicza, oskarżonego o szpiegostwo, poszedł z szefem Wydziału Kultury KC PZPR Pawłem Hoffmanem do Jakuba Bermiana, zapewniając o jego niewinności. Interwencja była bezskuteczna. Schorowany przyjaciel opuścił więzienie dopiero po październikowej odwilży w 1956 roku.

Tadeusz Borowski popełnił samobójstwo 3 lipca 1951 roku. Wcześniej odwiedził żonę, która po urodzeniu córki przebywała w szpitalu. Poszedł do niej wprost od kochanki, dziennikarki Polskiego Radia. Wychodząc ze szpitala, miał powiedzieć Marii, że jest okropnie dwulicowy. Pogrzeb odbył się państwowy. Odegrano Międzynarodówkę. Przybyli rodzice Tadeusza i mimo choroby, brat Juliusz. Gdy byli sami przy trumnie, matka odcięła nożyczkami duży, czarny kosmyk włosów syna. Przechowywała go w kopercie, na której było napisane, aby włożyć ją do jej trumny, gdy umrze.

Pamiętam pierwszą wizytę w mieszkaniu państwa Borowskich. Teofila mieszkała z synem Julianem, który się nie ożenił. Jej mąż nie żył już blisko od dziesięciu lat. Tę wizytę przy ul. 22 Stycznia zapamiętałem szczególnie, bo zostałem poczęstowany nalewką i z wrażenia zbiłem kieliszek. Na ścianie wisiło dużo portretów Tadeusza Borowskiego. Teofila Borowska nie wierzyła w samobójczą śmierć syna, uważając, że był to tragiczny wypadek, a Juliusz potakiwał matce. Juliusz często przychodził na spotkania autorskie z literatami olsztyńskimi i warszawskimi. Zabierał głos, gdy ktoś wspominał o jego bracie. Miejscowi pisarze dobrze go znali, wszak odwiedzali

dom Borowskich w rocznicę śmierci Tadeusza czy podczas imienin Teofili. Warszawscy literaci nie wiedzieli, z kim prowadzą dyskusję. Juliusz przez lata pisał dziennik, co matka odkryła dopiero po jego śmierci. Pozostawił po sobie wiele zapisanych zeszytów, które matka zniszczyła. Szkoda, że to zrobiła, bo te zapiski ukazywałyby nie tylko wewnątrzrodzinne relacje w rodzinie Borowskich, ale także opis wydarzeń kulturalno-literackich, jakie odbywały się w Olsztynie, a w których uczestniczył brat Tadeusza.

W roku 2012 członkowie Warmińsko-Mazurskiego Oddziału PTTK zabiegali, aby na ścianie budynku, w którym mieszkali Borowscy umieścić pamiątkową granitową tablicę, którą właścicielka zakładu kamieniarskiego oferowała bezpłatnie. Uważali, że byłaby to pewna turystyczna atrakcja Olsztyna i przewodnicy PTTK pokazywaliby turystom ten dom. Napis miał brzmieć: „W tym domu mieszkali: Matka, Ojciec i Brat / Tadeusza Borowskiego (1922-1951)/ pisarza, więźnia Auschwitz/ nr 119198/ W 90. rocznicę urodzin autora „Proszę państwa do gazu/ Mieszkańcy Olsztyna”. Treść tablicy zaakceptowała córka pisarza, prof. Małgorzata Borowska. Tablicy jednak nie umieszczono, gdyż nie zgodził się jeden z mieszkańców tego domu. Pięć lat później, w roku 2017, Stowarzyszenie Przyjaciół Miejskiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie z inicjatywy Łukasza Ślusarczyka, Przewodniczącego Zarządu, wspieranego przez dziennikarzy: Tadeusza Prusińskiego i Marka Barańskiego (którzy poznali panią Borowską) wystąpiło o umieszczenie na budynku przy ul. 22 Stycznia tablicy o treści: „W tym domu mieszkali: Teofila Borowska (1897-1993) Stanisław Borowski (1982-1966) Juliusz Borowski (1918-1987), których często odwiedzał Tadeusz Borowski (1922-1951)/ prozaik, poeta, publicysta/ więzień Auschwitz i Dachau – ich syn i brat/ W 95. rocznicę urodzin autora m.in. Pożegnania z Marią i Kamiennego świata – mieszkańcy Olsztyna”. Napis zakwestionował IPN w Warszawie, wyjaśniając, że informacja o pisarzu jest niepełna.

Marta Byczkowska-Nowak w zakończeniu swej książki stwierdziła: „Borowski pozostanie jednym z największych pisarzy XX wieku”. Twierdzenie trochę przesadne, ale pamięć o autorze wstrząsających opowiadań oświecimskich, które onegdaj były obowiązkową lekturą w szkole średniej powinna być zachowana, szczególnie w naszym mieście, z którym był rodzinnie związany. Dwie takie tablice istnieją w Warszawie. Jedna na domu przy ul. Kaliskiej 17, gdzie Borowski mieszkał i zakończył życie, druga przy ul. Skaryszewskiej 4, gdzie pomieszkiwał w czasie wojny, jednocześnie tam pracując. ■

...Nikt nie pytał, czego dziecko sobie życzy...

Świat obrócił się, przekreślił i wywinął firlaka od kiedy, przynajmniej teoretycznie, dotyczyło mnie własne dzieciństwo i dorastanie. Bardzo powolna i nierówna zmiana, która towarzyszy wielu innym i wpływa na wszystko i wszystkich wokół. Zaczęto bowiem, tak generalnie od niedawna, patrzeć na dzieci nie jak na zwierzęta, niewolników czy dodatkowe ręce do pracy, a bardziej jak na etap rozwoju ludzi dorosłych. Brzmi to kuriozalnie, przecież jest to całkowicie oczywiste. (Przecież!) Mogą teraz dzieci m.in. częściej decydować (w niektórych domach), co dostaną do jedzenia i ile zjedzą. Pamiętam, że w latach 90. tekst: „Ziemniaczki możesz zostawić, ale mięsko ma być zjedzone” to był swoisty standard postawy żywieniowej wobec nas – nieletnich. Generalnie dorośli mieli wobec nas dość precyzyjne plany i recepty: zrobisz to, co chcesz – będzie źle; zrobisz tak, jak ja ci mówię – będzie najlepiej (o ile dasz radę).

...Nie mówiono: „gdy cię skrzyczą, to sam krzyczysz”...

Oczywiście powiedzenie „Czym skorupka za młodu nasiąknie...” to standard wśród wierszowanych mądrości od dawna, ale jakoś chyba nie bardzo wiedzieliśmy, jak to przełożyć na praktykę życiową. Dopiero gdy sama zaczęłam odprowadzać dziecko do szkół, zdałam sobie sprawę, że maluchy są jak ślimaki i przyprowadzają wszędzie swoje domki. Swoje rodziny, konteksty, napięcia i strachy. I że okres maluchowatości to taki bezwładny drift, efekt i objaw życia całych rodzin. Jeśli np. wszyscy się na ciebie i siebie w domu drą, to potem ty sama uprawiasz taki styl komunikacji i nie widzisz w tym niczego nieprawidłowego. A jeśli często słyszysz „przestań się tak emocjonować”, a czujesz wiele (może zbyt wiele) to zaczynasz maskować swoje uczucia na zewnątrz. Możliwe, nawet bardzo możliwe, że twój organizm poradzi sobie w jakiś inny sposób z tym ogromem. W moim przypadku wjechało wtedy „masowe przetwórstwo słowno-językowe” (a jakieś dwie dekady potem – nadciśnienie tętnicze). Mózg z całym układem nerwowym, przetwarzający ogrom danych w słowa, ciągle nowe, więcej, głębiej. I tak oto znalazłam się w punkcie, gdy ten taniec zaczął zastępować podstawowy mój chód.

MARY RUMI

Sto sposobów – felieton o kluciu się

...Oficjalne zachowanie – Twoje! Sam pracujesz na nie...

Zdarzyły się za mojego dzieciaka, w pierwszej podstawówce – w tzw. Małej Miodowej, różne moje pierwsze razy systemowe: spóźnienia, egzaminy komisyjne, strach, płacz, niepewność i dyskoteki. Pierwszą (i chyba jedną z ostatnich) uwagę z wpisem do dziennika i wezwaniem rodziców dostałam wcześniej, bo już na początku pierwszej klasy, za to, że się spóźniłam do szkoły i na pytanie wychowawczynie: „Czemu?” odpowiedziałam z rozbijającą szczerością, bardzo dziecięco i chyba ziewając: „Bo moja podusia i kołderka mówiły, żebym nie wstała tylko pospała jeszcze chwilę...”. Wychowawczynie nie wybuchła śmiechem. Nie doradziła mi, na przyszłość, większej stanowczości w dyskusowaniu z własną pościelą nad ranem. W zamian zawezwała czym prędzej mych rodziców i podobno zła była jak szerszeń, że jakim prawem, co za bezczelność, tak nie wolno, gdyby każdy sobie na to pozwalał, jak oni mnie wychowują, co ja robię po nocach itd. Cóż. Miałam siedem lat, niezdiagnozowane ADHD, starszego brata we wspólnym pokoju, wiele rzeczy mogło się przyczynić do mojego spóźnienia. Co ciekawe – przez pierwsze trzy klasy przecież to rodzice nas wozili do szkoły, nie chodziliśmy do niej sami. Było za daleko i niebezpiecznie. Czyli w sumie była zła na nas wszystkich. Ale tak, miałam obniżoną ocenę ze sprawowania już w pierwszej klasie „szkoły talentów” i od tego momentu, aż do końca edukacji – zerowe chęci na wyjście o czerwony pasek.

...Ale system sam obcina swe gałęzie.

Widzisz wszystko. Siedzisz na nich. Głos ci grzęźnie.

Nie zatrzymasz pracy piły. Nie chcesz by ci rączki zgniły...

Ostatnio miałam przemiłą i ciekawą rozmowę z kolegą, muzykiem. Z okazji produkcji i szykowania się na koncerty rapowe z nową płytą rozgadaliśmy się na tematy megaciekawych osobowości muzycznych. Zapamiętałam jedno zdanie, które padło – wypowiedziane absolutnie świadomie i zarazem lekko przez rozmówcę: „Tak, ależ to wspaniała, prominentna rodzina, tak wiele utalentowanych dzieci i wszyscy pracują tak kreatywnie i artystycznie. Nic dziwnego, że nowa

płyta jednego z synów jest tak grubo autoterapeutyczna i wszystkie teksty służą do przerobienia tego ogromu wspaniałości...”.

Gdy skończył to zdanie, oplutałam się kawą ze śmiechu. Tak – konsekwencją naszego dorastania i późniejszej pracy nad fajnym życiem są często autoterapeutyczne działania twórcze. Jak dobrze pójdzie. I zawsze „między innymi” ;)

W moich tekstach kontekstów dzieciństwa jest pełno. Nie widzę w tym niczego zawstydzającego, nie wyróżniam się pod tym względem, wszystkich nas kształtowano w okresie klucia. To od tego się odbijamy, z tego okresu biorą się też najsilniejsze „zapisy na dysku twardym”, nasze poglądy, w tym te na własny temat. Ale i tam mieszka etyka, wiara, nasz główny trzon moralny. A więc klucie to czas niebagatelny. A dla artystów, zwłaszcza tych płodnych, jest to przeważnie źródło większości impulsów twórczych. W ten czy inny sposób jesteśmy zakłęci, kręcimy ósemki, myślimy, że się od tego oddalamy, ale jednak chyba jesteśmy w stanie jedynie w jakimś stopniu się zmodyfikować, nadpisać tamte pewniki czymś nowym. Albo mylę się całkowicie i taki schemat dotyczy tylko mnie jednej. I to też jest ok. Nie pierwszy to raz się mylę i nie ostatni ;)

W szkole czułam się tak głupia

miałam sto sposobów żeby nikt nie zauważył

milion myków aby nikt nie poznał moich marzeń

nie daj się nikomu zgnębić

nie pozwalaj im się zgłębić

U nas w domu raczej nikt nie był smutny

choć tak się przecież nie da – los okrutny!

nie dopuszczaj go do siebie

zamknij oczy

idź!

ja je..ię! ■

(W felietonie użyto fragmentów piosenki „Sto Sposobów” z albumu „Dziewczyna-Dygresja” Mary Rumi)

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA

Cykl: Co warto czytać? Czyli słów kilka o książkach z Warmii i Mazur

Dziennik, nie-dziennik

Pisarstwo autobiograficzne w XXI wieku robi karierę. Szczególnie w pierwszej jego dekadzie zredagowano i opublikowano szereg dzienników bardzo znanych polskich pisarzy, przynależnych do poprzedniej epoki literackiej, m.in. Marii Dąbrowskiej, Jarosława Iwaszkiewicza, Mirona Białoszewskiego, ukazał się też ostatni dziennik Witolda Gombrowicza pt. *Kronos*. Słowem – głośno mówiło się o karierze tego gatunku. W olsztyńskim środowisku fala pisarstwa autobiograficznego nastąpiła w latach 60. i 70. ubiegłego wieku, gdy swoje wspomnienia opublikowali przedwojenni działacze ruchu polskiego. Ukazało się wówczas kilkadziesiąt książek. Jeśli chodzi o pisarzy tworzących współcześnie w Olsztynie nie często mamy do czynienia z wypowiedziami intymnymi. To stwierdzenie nie dotyczy właściwie dwóch poetów: Kazimierza Brakonieckiego i Zbigniewa Chojnowskiego. Pierwszy ma na swoim koncie aż cztery książki osobiste, w tym ostatnią wydaną w ubiegłym roku pt. *Mój Olsztyn. Domonologia* (2025).

Ja jednak z dużym zainteresowaniem sięgnęłam po najnowszą książkę Zbigniewa Chojnowskiego pt. *Rozruchy. Z dziennika Wiktora Sulkowskiego*. To już druga część prozatorskiego cyklu (pierwsza pod tytułem *Aktorstwo. Z dziennika Wiktora Sulkowskiego* ukazała się w 2019 roku), którą zaczął uprawiać ten znany olsztyński poeta, literaturoznawca, profesor pracujący na UWM w Olsztynie. Tytuł tego utworu (dziennik) odsyła do autobiograficznej formy, która każe nam utożsamiać autora z diarystą i bohaterem (wedle paktu autobiograficznego Philippa Lejeune). Tymczasem bohater książki Zbigniewa Chojnowskiego nazywa się Wiktor Sulkowski. Czy zatem pomyłka? Czy to nie są zapiski samego autora i mamy tu do czynienia z powieścią o fikcyjnym świecie przedstawionym?

Lektura utworu upewnia nas jednak, że pierwsze wrażenie było właściwe. Kolejne życiowe tytułowego bohatera dziennika, choć nosi on inne miano, są na wskroś podobne do biografii autora. Zbigniew Chojnowski urodził się na Mazurach,

w Orzyszu, skąd pod koniec lat 80., wraz z rodzicami i braćmi, przeniósł się do Olsztyna i tu ukończył IV LO. Następnie, po nieudanych próbach aplikowania do szkoły aktorskiej, złożył egzaminy na olsztyńską polonistykę i został przyjęty. Losy Wiktora odzwierciedlają zawodowe wybory profesora. Należy więc chyba odrzucić wątpliwości i przyjąć, że mamy jednak do czynienia z utworem na wskroś autobiograficznym.

W otoczeniu diarysty pojawiają się osoby znane z olsztyńskiego środowiska kulturalnego, co świadczy jeszcze bardziej o silnym uprawdopodobnieniu związków autora z bohaterem. Chodzi on na spotkania autorskie, gdzie styka się np. z Kazimierzem Brakonieckim (wówczas początkującym poetą), Andrzejem Staniszewskim (późniejszym profesorem literaturoznawcą), odwiedza słynny Dom Środowisk Twórczych (DŚT). Jego mentorem staje się – przynajmniej na pierwszych latach studiów, bo taki jest czas dziennikowych zapisów – książd Jan Rostan, też poeta. To on podpowiada Wiktorowi, w jaki sposób powinien pisać wiersze i gdzie posyłać swoje literackie pierwocyny. Wiktor należy do grupy poetów, która rzeczywiście rozpoczęła swoją działalność w Olsztynie w pierwszej połowie 1981 roku pod nazwą „Malwa II”, nawiązując nazwą do tradycji olsztyńskiej grupy poetów i plastyków, istniejącej pod koniec lat pięćdziesiątych („Malwa”). Należeli do niej: Iwona Łazicka, Dariusz Lech, Paweł Berndt i Zbigniew Chojnowski. Spotykali się w klubie „Bimanol” i Teatrze im. S. Jaracza w celu recytacji swoich świeżo napisanych utworów. Artystycznie i moralnie wspierał ich Kazimierz Brakoniecki.

Wiktor czerpie pełnymi garściami ze świata literatury i kultury. Często kupuje książki, chodzi do teatru, dyskutuje na temat literatury. Przyjaźnią, (lub nie) darzy bohaterów przeczytanych lektur. Ma bardzo poważny stosunek do świata

i swoich przeżyć, co jest typowe dla okresu dojrzewania, w którym się znajduje. Przeżywa pierwszą prawdziwą miłość, której obiektem jest koleżanka z roku – Renata, późniejsza żona profesora. Zauroczenie staje się powoli głównym motywem dziennika. Tłem emocjonalnego uwikłania bohatera jest środowisko domowe (przykrości z powodu mieszkania na małej przestrzeni z wieloosobową rodziną), funkcjonowanie grupy rówieśniczej, składającej się głównie z osób z nim studiujących, z którą co rusz dochodzi do niejasnych konfliktów, a także grupy literackiej „Malwa II”, zrzeszającej młodych adeptów pisania.

Bohater dziennika Zbigniewa Chojnowskiego jest postacią, która bez wstydu mówi o swoich wewnętrznych problemach. Z naiwnością dziewiętnastolatka je roztrząsa i wyznaje czasem oryginalne poglądy na świat. Ma trudności z nawiązaniem bezpośrednich relacji, jest skryty i bardzo podejrzliwy co do intencji innych, często zmienia zdanie o bliskich znajomych. Bywa rozchwiany emocjonalnie, ma stany przypominające depresję. Ubolewa nad brakiem akceptacji, czując się wyrzutkiem, czy też outsiderem. Ma czasem niezrozumiałe poglądy na temat kobiet, które w jego opinii stanowią niemożliwy do racjonalnego wytłumaczenia gatunek człowieka. Jest przy tym bardzo wymagający, gdy dopomina się o akceptację własnej osoby.

Dziennik staje się także okazją do przyjrzenia się tradycyjnym studiom polonistycznym w Olsztynie, przygotowującym do zawodu nauczyciela. Wiktor musi zaliczyć wakacyjne praktyki pedagogiczne, polegające na opiece nad dziećmi w trakcie kolonijnego wypoczynku. Dla byłych studentów olsztyńskiej filologii polskiej (do których zalicza się także autorka tej recenzji) jest to przypomnienie postaci wykładowców ją reprezentujących: ich sposobu bycia i wymagań stawianych studentom.

Perypetie głównego bohatera rozgrywają się w roku istotnym dla przeobrażeń życia politycznego w PRL-u. Jest to czas solidarnościowej euforii roku 1980, strajków studenckich, w czasie których upominano się o nowe miejsca do prowadzenia wykładów w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, to także czas wprowadzenia stanu wojennego. Bohater bierze udział w strajkach, ale polityka

go raczej nie interesuje. Nie znajdziemy tu przemyśleń związanych z historiozofią – oprócz końcowego podsumowania. Jednakże w Prologu wprowadzającym do utworu znajdujemy wyjaśnienie Zbigniewa Chojnowskiego: „Zapiski Wiktora Sulkowskiego obejmują okres od czerwca 1980 roku do grudnia 1981. Był to czas oczekiwania na odmianę kierunku losu – zarówno własnego, jak i zbiorowego – ku wolności i godnemu życiu. Dziennik może zainteresować tych czytelników, którzy zechcą poznać codzienność ludzi dojrzewających w realiach nieoczywistego schyłku Polski Ludowej. Z perspektywy XXI wieku nikogo nie trzeba przekonywać, że przebudzenie społeczne pod znakiem „Solidarności” decydująco wpłynęło na bieg historii” (s. 5).

Warto zastanowić się jeszcze nad czasem powstania tych zapisów. Czy rzeczywiście jest to dziennik, który powstał przed wielu laty? Czy też mamy do czynienia z przetworzonym przez umysł dojrzałego mężczyzny zbiorem młodzieńczych doświadczeń? Świadczyć może o tym dojrzały styl wypowiedzi, nie współgrający z opisywanymi w diarystycznej narracji niskimi osiągnięciami na polonistyce. Zastanawiają także, wplecione w narrację, opisy piękna przyrody, przypominające poetyckie frazy. Być może dziennik pisany przez młodego chłopaka został poddany wnikliwej „obróbce” przez dorosłego autora niejednej już książki? Zresztą Zbigniew Chojnowski w jakimś sensie tego nie kryje, gdy pisze w zakończeniu Prologu: „Pracując nad kolejną częścią rękopisu dziennika Wiktora Sulkowskiego, starałem się jak najwierniej oddać jego styl” (s. 6).

Tytuł *Rozruchy* ma sens podwójny: metaforyczny, który wyraża swego rodzaju rozgrzewkę, przedbiegi do dorosłego życia i konkretny, odnoszący się do strajków i zmian w życiu społeczno-politycznym. Dwuznaczny charakter ma także cały utwór, gdyż rodzi szereg pytań: czy poznajemy diarystę, czy bohatera, czy datą powstania jest przełom 1980-1981, czy też czas opublikowania utworu. Wydaje się, że indywidualna lektura może przynieść konieczne rozstrzygnięcia. ■

Zbigniew Chojnowski, *Rozruchy. Z dziennika Wiktora Sulkowskiego*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział w Olsztynie, Olsztyn 2025, ss.168.

IWONA JEDYNASTA

O dzieciach możnych w dawnych Prusach Wschodnich
Dzieciństwo w pałacu

Kiedy patrzę na ruiny dworów i pałaców na dzisiejszej Warmii i Mazurach, w krajobrazie dawnych Prus Wschodnich, czasem tapię się na myśli: ach, urodzić się w takim domu... Mieć park za oknem, bibliotekę, portrety przodków na ścianach. Dorastać w miejscu tak pięknym, że aż abstrakcyjnym.

Potem otwieram *Dzieciństwo w Prusach Wschodnich* Marion Dönhoff i ta wizja zaczyna się komplikować.

Dzieci wielkich rodów były uprzywilejowane i nie ma sensu porównywać ich warunków życia z losem dzieci robotników folwarcznych czy najbiedniejszych rodzin wiejskich. Miały opiekę, edukację, książki, muzykę, przestrzeń i możliwości niedostępne dla większości rówieśników. Ich dzieciństwo wyglądało jednak inaczej, niż chętnie je sobie dzisiaj wyobrażamy, stojąc przed pałacową ruiną.

Marion była najmłodsza z siedmiorga dzieci dorastających we Friedrichstein pod Królewcem. W jej wspomnieniach nie ma ani skargi, ani przesadnego sentymentu. Jest piękno tego świata, swoboda i bliskość przyrody, ale jest też wyraźny dystans między dziećmi a dorosłymi.

Jej matka była mocno przywiązana do tego, co *comme il faut* — do zasad, tego, co wypada i jak należy zachowywać się zgodnie z pozycją rodziny. W domu nie brakowało dorosłych: byli nauczyciele, wychowawczynie, opiekunki, służba, sekretarka ojca. Marion nie była więc samotna w dosłownym znaczeniu. Mimo to nie zawsze znajdowała wśród tych ludzi kogoś, komu mogłaby się naprawdę zwierzyć.

W 1926 roku szesnastoletnia Marion zapisała w dzienniku, że dorośli nie rozumieją dzieci. Żaliła się, że nie traktują ich poważnie i przyznawała, że są sprawy, o których łatwiej rozmawiałoby się z przyjacielem niż z kimś z najbliższej rodziny.

Dönhoffowie codziennie spotykali się przy stole. Nie był to dom, w którym dzieci żyły gdzieś na osobnym piętrze i oglądały rodziców od święta. Chodziło o coś mniej uchwytneho: hierarchię, konwenans i wychowanie oparte na przekonaniu, że dziecko powinno jak najwcześniej poznać reguły świata, do którego się urodziło.

Codziennosc we Friedrichstein potrafiła być przy tym zaskakująco oszczędna.

Mieszkająca z rodziną Edith von Zedlitz, przyjaciółka matki Marion, z ogromną

gorliwością pilnowała gospodarności. Dzieciom nie wolno było smarować chleba jednocześnie masłem i marmoladą. Zbierały żołędzie na kawę zastępczą. Sadza z komina służyła do przygotowywania pasty do butów, a mydło gotowano z resztek. Marion szczególnie dobrze zapamiętała *Kochkiste*. Wieczorem krótko obgotowywano kaszę, najczęściej pęczak lub krupy, po czym garnek wkładano do grubo wyściełanej skrzyni. Potrawa miała przez noc „dojść” bez dalszego zużywania opału. Tyle teorii, bo rano ziarna nadal bywały półsurowe. Marion nie mogła ich przetknąć, więc siedziała nad śniadaniem tak długo, że niemal stale spóźniała się na lekcje. Po latach podejrzewała, że mogło się to przyczynić do dość szybkiego zakończenia jej pierwszej szkolnej przygody w Królewcu.

Oszczędzono również w podróży. Rodzina jeździła koleją trzecią, nieobitą klasą, nawet na długiej trasie z Królewca do Berlina. Dönhoff umieszczała te wspomnienia w realiach niedostatku po pierwszej wojnie światowej. Pisała także o mieszkańcach miast zbierających na polach pozostawione po żniwach kłosa oraz o osobach ze wsi, które oszczędzały buty tak bardzo, że zakładały je dopiero przed dojściem do kościoła.

Nie porównywała własnej rodziny do tych ludzi. Friedrichstein pozostawał wielkim majątkiem, a Dönhoffowie należeli do najzamożniejszej warstwy społeczeństwa. Widać jednak, że nawet w takim domu wygoda nie była wartością, której podporządkowywano codzienne życie.

W jednym z jesiennych zapisków Marion wraca do poranków we Friedrichstein. Na zewnątrz było jeszcze ciemno, rozpalano piec, słychać było trzask ognia, a po schodach ciężko chodzili ludzie noszący drewno. Takie szczegóły robią na mnie większe wrażenie niż opisy reprezentacyjnych sal. Pałac przestaje być wtedy zabytkiem. Staje się domem, w którym ktoś po przebudzeniu czekał, aż w pokoju zrobi się ciepło.

Ciekawie wyglądała również edukacja pałacowych dzieci. Dla starszego rodzeństwa Marion zatrudniano domowych nauczycieli, wychowawczynie i specjalistów od języków. Jeden z jej braci jeszcze zanim dobrze nauczył się niemieckiego — już mówił po francusku. Przy najmłodszym, siódmym dziecku rodzinny zapał pedagogiczny

wyraźnie osłabił. Sama Dönhoff pisała z humorem, że jej edukację pozostawiono właściwie przypadkowi: raz uczyła ją sekretarka ojca, innym razem ktoś ze starszego rodzeństwa albo któryś z młodych ludzi przebywających we Friedrichstein. Kiedy postanowiła zdawać maturę, napotkała opór matki. Ostatecznie maturę zdała, lecz przed rozpoczęciem studiów musiała jeszcze, zgodnie z jej życzeniem, spędzić rok w szkole gospodarstwa domowego w Szwajcarii. Wykształcenie było dla dziewczyny z takiego domu dostępne, ale jego kierunek wciąż podlegał rodzinnej kontroli.

Chłopców przygotowywano do innych obowiązków. Alexander zu Dohna-Schlobitten, przyszły dziedzic rodzinnych dóbr, zdobywał praktyczną wiedzę z rolnictwa i leśnictwa. Wielki majątek był domem, ale także rozbudowanym gospodarstwem, które ktoś miał kiedyś przejąć, utrzymać i przekazać następnemu pokoleniu. Wraz z nazwiskiem dziedziczono więc nie tylko pozycję, lecz także z góry wyznaczoną rolę. Nie wszystkie wspomnienia Marion są jednak historiami o zasadach, obowiązkach i oszczędzaniu. Wiele z nich ma zupełnie inny ton.

Kochała przyrodę i jazdę konną, pomagała przy wykopkach, wspinała się na drzewa i włóczyła po okolicy. Po latach pamiętała dym z palonych jesienią łęgów ziemniaczanych przesuwający się nad polami. Od stangreta nauczyła się gwizdać na palcach. Friedrichstein było dla niej miejscem ukochanym, choć dalekim od późniejszych wyobrażeń o rozpieszczonym dziecku wychowanym w luksusie.

Znacznie dramatyczniej potoczyło się dzieciństwo córek Lehndorffów ze Steinortu, dzisiejszego Sztynortu. Nona, Vera i później Gabriele wychowywały się w starym rodzinnym majątku nad mazurskim jeziorem. Ojciec, Heinrich von Lehndorff, prowadził dobra, matka Gottliebe zajmowała się rodziną. Vera wspominała później szczególnie silną więź z ojcem.

W czasie wojny do ich rodzinnego domu wkroczyła wielka polityka. W 1942 roku jedno ze skrzydeł Steinortu zajął Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych III Rzeszy. Chciał mieszkać blisko Wilczego Szańca. Dla małych dziewczynek był początkowo jednym z dorosłych pojawiających się w ich domu — odnosił się do nich uprzejmie i chętnie pozował z nimi do zdjęć. Dopiero wiedza o jego działalności sprawia, że te fotografie budzą dziś tak duży niepokój.

Także biografia ich ojca nie poddaje się prostym ocenom. Heinrich von Lehndorff był oficerem Wehrmachtu i członkiem NSDAP. Podczas wojny na Wschodzie zetknął się ze zbrodniami na ludności żydowskiej, a później związał się z wojskowym ruchem oporu przeciw Hitlerowi. W planach zamachowców miał pełnić funkcję oficera łącznikowego w Prusach Wschodnich.

W jednym skrzydle rodzinnego pałacu mieszkał więc minister Hitlera, podczas gdy

gospodarz domu uczestniczył w przygotowaniach do wystąpienia przeciwko reżimowi. Jego córki były za młode, aby rozumieć, co działo się wokół nich. Steinort był dla nich miejscem codziennych zabaw, pokoi, ogrodu i obecności rodziców.

Po nieudanym zamachu z 20 lipca 1944 roku wszystko zmieniło się w ciągu kilku tygodni. Heinrich został aresztowany, skazany na śmierć i 4 września stracony w Berlinie-Plötzensee. Gottliebe, będąca w zaawansowanej ciąży, również trafiła do więzienia. 15 sierpnia w szpitalu więziennym w Torgau urodziła czwartą córkę, Catharinę.

Pod koniec sierpnia Nonę, Verę i niespełna dwuletnią Gabriele zabrano z domu dziadka i wywieziono do Bad Sachsa. Trafiły tam wraz z innymi dziećmi rodzin represjonowanych po zamachu z 20 lipca.

Nazistowska *Sippenhaft* oznaczała odpowiedzialność obejmującą również krewnych przeciwników reżimu. Dzieciom w Bad Sachsa nadawano nowe imiona i nazwiska, rodzeństwa często rozdzielano, a używanie prawdziwych nazwisk było zakazane.

W świecie Lehndorffów nazwisko przez pokolenia określało pochodzenie, miejsce w społeczeństwie i związek z rodzinnym majątkiem. Teraz stało się powodem represji. Próba odebrania dzieciom nazwiska była zarazem próbą odebrania im dotychczasowej tożsamości.

I chyba właśnie dlatego, gdy oglądam dziś pozostałości wschodniopruskich rezydencji, obok architektury coraz bardziej interesuje mnie zwyczajność, której prawie nie widać: śniadania, lekcje, zimne poranki, relacje z rodzicami, dziecięce bunt i wymagania dorosłych. Fasada nie mówi nam, czy mieszkające za nią dziecko czuło się szczęśliwe.

Pałac zapewniał bezpieczeństwo materialne, przestrzeń, wykształcenie i silne poczucie zakorzenienia. Bywał domem kochanym i wspomnianym przez całe życie. Nie uwalniał jednak od rodzinnych oczekiwań ani nie zapewniał bliskości. W przypadku córek Lehndorffów nie zdołał też ochronić tego, co dla dziecka najbardziej podstawowe: domu, rodziców, własnego nazwiska i poczucia, że świat pozostanie jutro taki sam. ■

Książki dla tych, którzy chcą wiedzieć więcej:

Marion Dönhoff, *Dzieciństwo w Prusach Wschodnich*, wyd. 2, Wydawnictwo Pellagrini, Kielce 2009.

Antje Vollmer, *Podwójne życie. Heinrich i Gottliebe von Lehndorffowie w opozycji przeciwko Hitlerowi i Ribbentropowi*, Post Factum, Katowice 2018.

Hans von Lehndorff, *Wspomnienia z Prus Wschodnich*, Fundacja Ośrodka KARTA, Warszawa 2025.

KRZYSZTOF KAPINOS

Podwórka i place zabaw – współczesne soczewki społecznych przemian

Przestrzeń miejska jest milczącym świadkiem społecznych transformacji, a nigdzie nie widać tego wyraźniej niż między blokami olsztyńskich osiedli i kamienic. Tradycyjne podwórko – niegdyś królestwo nieskrępowanej, dziecięcej wolności – przechodzi dziś gruntowną metamorfozę. Dawniej wystarczył trzepak, murek i skrawek nierównego chodnika, by stworzyć tętniące życiem centrum wszechświata. Dzisiaj ta przestrzeń została systematycznie i bezpardonowo zawłaszczona przez samochody. Parkingi wyparty prowizoryczne boiska, a rzędy aut zdominowały miejsca dawnych kryjówek.

Wraz z tą przestrzenną aneksją, diametralnie zmieniło się podejście dorosłych do dziecięcej swobody. Plac zabaw stał się w zasadzie jedynym społecznie akceptowalnym rezerwatem dziecięcej energii. Spontaniczna jazda na rowerze między blokami czy swobodne bieganie po alejkach nierzadko spotyka się z dezaprobatą otoczenia. „Od tego są wyznaczone miejsca” – to zdanie stało się nowym wychowawczym paradygmatem. Dziecko ma przebywać i bawić się tam, gdzie ułożono bezpieczną, tartanową nawierzchnię i postawiono atestowane huśtawki. Zabawa została ujęta w rygorystyczne ramy i poddana ścisłej kategoryzacji.

Ten proces zamknięcia w „rezerwach” pociąga za sobą kolejne, niezwykle wyraziste zjawisko: postępującą atomizację zabaw. Współczesne place rzadko

przypominają dzikie plemiona dziecięcych grup z ubiegłych dekad. Spędzając czas na placu zabaw, choćby podczas popołudniowych wyjść z Wincentym, trudno nie zauważyć, że obok niemal każdego, zwłaszcza młodszego dziecka, wystąpi niczym cień jego rodzic. Zabawa rówieśnicza ustępuje miejsca zindywidualizowanej relacji dziecko-opiekun, gdzie ten drugi pełni rolę animatora, asekuranta i arbitra w jednym. Dzieci bawią się często obok siebie, a nie ze sobą.

Jednak współczesne podwórka i place zabaw to nie tylko opowieść o ograniczaniu swobody i hiperasekuracji, ale też fascynująca soczewka, przez którą widać zmiany demograficzne i kulturowe. Te mikrokosmosy stają się coraz bardziej różnorodne, co niesie ze sobą niezwykle cenną lekcję tolerancji. Zjawisko wyśmiewania „inności”, tak powszechne jeszcze kilkanaście lat temu, wyraźnie słabnie. To już nie są czasy homogenicznych grup, w których na podwórkach królowali wyłącznie Piotrkowie i Krzyśkowie. Dziś zupełnie inne, nierzadko obco brzmiące imię kolegi z piaskownicy nie jest niczym dziwnym ani stygmatyzującym – staje się naturalnym elementem nowej codzienności.

Podwórka i place zabaw są więc doskonałym sejsmografem naszych czasów. Z jednej strony obnażają nasze lęki, potrzebę ścisłej kontroli i narastającą atomizację społeczną. Z drugiej jednak – dają nadzieję, stając się tygłem, w którym zupełnie naturalnie i bez wielkich słów wykuwa się nowe, zdecydowanie bardziej otwarte społeczeństwo. ■

MARIA JOŃCZYK-ZEGLER

Bajka po liftingu

Dawno, dawno temu, pewnego razu, hen, daleko za górami, za lasami, za morzami (najczęściej siedmioma)... Tak zaczyna się większość bajek i baśni, a ich tematyka jest nam dobrze znana. Dorastaliśmy poznając bajki braci Grimmów, H. Ch. Andersena czy Ch. Perraulta. Nie ma wśród nas nikogo, kto choć raz nie podążył z Kopciuszkiem na bal, Czerwonym Kapturkiem do babci, wędrował do pałacu Królowej Śniegu, albo nie próbował pierniczków z Jasiem i Małgosią. Czy we współczesnych interpretacjach znanych nam utworów znajdziemy zapamiętane obrazy? Czy potrafimy zaakceptować ich przeobrażenia? Obecnie bowiem, w tradycyjnych baśniach dla dzieci, zauważymy mnóstwo modernizacji – od interpretacji tekstu, poprzez ilustrację, aż po formę.

Bajki towarzyszą człowiekowi od zawsze. Przekazywane były z pokolenia na pokolenie, wędrując z ust do ust, prezentowane na jarmarcznych teatrzykach, później drukowane w różnego rodzaju pisemkach, aż trafiły do znanych nam dzisiaj książek. Ich wędrówka po świecie trwa od tak zamierzcztych czasów, że nie sposób wskazać początku. Trudno również powiedzieć czy znajdują swój kres. Niezależnie od czasów i miejsca rozbudzały wyobraźnię, kształtowały wrażliwość moralną, przenosiły w odległe światy i dostarczały rozrywki.

Pamiętam chwile spędzone przy lekturze Konika Garbuska P.P. Jerszowa czy Dziewczynce z zapałkami H. Ch. Andersena z cudownymi ilustracjami mistrza – Jana Marcina Szancera. Do dziś nie zapomniałam (mogę cytować duże fragmenty) wierszowanych bajek Jana Brzechwy, które w zbiorze Bajki samograjki wzbogacone były nutami zapisanymi przez Mieczysława Janicza i Stefana Kisielewskiego. W latach 70-tych XX wieku wydane zostały w postaci płyt analogowych i dzięki głosom Artystów Scen Warszawskich mieliśmy namiastkę teatru w domach. Obecnie autorzy, ilustratorzy i wydawcy oferują odbiorcy, temu wychowanemu na klasycznej bajce, a także, a może przede wszystkim – najmłodszemu, bajkę w nowej odsłonie.

W dobie Minecrafta, bohaterów Star Wars czy Avengers jest nadal miejsce – równo dla światów bajkowych w najlepszym wydaniu klasyki gatunku, jak również tych, które przeszły spore przeobrażenia. Współczesny Kopciuszek nie musi być dziewczynką, co zaproponowała Babette Cole. Jej Książę Kopciuch ma podobne zadania jak znana nam pracowita panienka, też jedzie na bal, gubi tam fant i oczywiście ma szczęśliwe zakończenie. Przy tej wersji bajki nie ma osoby, która powstrzymałaby się przed głośnymi wybuchami śmiechu, a ilustracje jeszcze je potęgują. Natomiast holenderski duet Linda de Haan i Stern Nijland bajką Król i król wywołał spore zamieszanie. Autorzy poszli o krok dalej (niektórzy powiedzą, że zrobili nawet krok milowy) „przerabiając” klasyczną opowieść o poszukiwaniu królowej dla następcy tronu. Nie zabrakło w niej szczęśliwego zakończenia, ale nawet zmęczona rządzeniem królowa nie spodziewała się, że serce królewicza zabije mocniej na widok Księcia Wspaniałego. Nie trzeba dodawać, że książka wzbudziła wiele dyskusji na temat tolerancji i różnorodności.

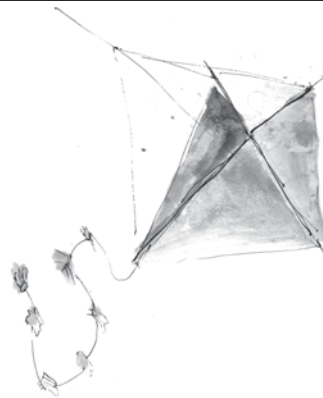
Zostawmy na chwilę wyższe sfery i sprawdźmy, co słychać u mniej zamożnych. Jakiś czas temu niektórzy mieli okazję poznać treść serii „Baśnie pokręcone”. Wspomnę tu dwa tytuły Jaś i Małgosia oraz Czerwony Kapturek. Autor serii, Alojzy Suchar, na początku uprzedza, że każdy z nas czyta bajkę na własną odpowiedzialność i zamiast płakać ze wzruszenia, będziemy śmiać się do łez, a zakończenie na pewno nas zaskoczy. Wilk jest posiadaczem telefonu komórkowego i często korzysta z porad pracowników Wilczej Infolinii. Babcia pożarta przez wilka jest przerażona bałaganem panującym w jego w brzuchu i wróży mu niebawem płukanie żołądka, a zawartość koszyeczka Czerwonego Kapturka niejednego dietetyka wprawiłaby w osłupienie. Jaś i Małgosia, a raczej Jach i Gośka lub Małgocha (?!), trafiają do chatki, którą zamieszkuje niedoceniona przez świat primadonna, w dodatku z aspiracjami celebrytki. Może pomysł był dobry, czyli opowiedzenie znanej historii na nowo, lecz zabrakło w niej nie tylko konsekwencji, ale przede wszystkim estetyki – słownej i ilustracyjnej. Przybliżając klimat

narracji, można powiedzieć, że bohaterowie zostali jedną nogą w bajce klasycznej, a drugą weszli w świat współczesnych nastolatków – mocno wyluzowanych, ze słownictwem odbiegającym od tego, który czytelnikowi znany jest z tradycyjnej bajki. Zdecydowanie bardziej przemawia do mnie Czerwony Kapturek Wilhelma i Jakuba Grimmów z ilustracjami Joanny Concejo. Oryginalny tekst dopowiedziany został graficznym opracowaniem pełnym nowoczesności, intrygującym, z równowagą grozy i humoru. Uważny czytelnik dostrzeże tu również zupełnie nowy wątek – miłosny, niestety z góry skazany na porażkę. Bardzo ciekawą reinterpretację o przygodach Czerwonego Kapturka zaproponowali Aaron Fisch – autor tekstu oraz Roberto Innocenti – ilustrator, w książce pt. Czerwony Kapturek w wielkim mieście. Tytułowa bohaterka przemierza miasto ze szkła, betonu i stali, wśród mnóstwa neonów, graffiti i mrocznych zaułków miasta. Umiejscowiona we współczesnych realiach historia pokazuje, że las braci Grimmów zmienił nieco swoje oblicze, ale nadal kryje się w nim mnóstwo niebezpieczeństw.

Współczesny odbiorca ma do wyboru szeroki wachlarz form, w których występuje bajka. Wspomniałam tylko o tradycyjnej, czyli książce, ale pamiętać należy również o kartach teatrzycy Kamishibai, grach planszowych, audiobookach i filmach. Każda z nich ma swoje grono wielbicieli, daje możliwość ponownego i nowego odczytania opowieści, uwrażliwia estetycznie, pozostawia miejsce na własną interpretację. Niekiedy nas oburza, ale zwykle zachwyca i sprawia, że możemy wrócić do czasów dzieciństwa. ■

Literatura:

- Brzechwa J., *Bajki samograjki*, Czytelnik, Warszawa 1981.
- Cole B., *Książkę Kopciuch*, Egmont American, Warszawa 1992.
- Concejo J., *Czerwony Kapturek*, Tako, Toruń 2015.
- De Haan L., *Król i król*, AdPublic, Warszawa 2010.
- Fisch A., *Czerwony Kapturek w wielkim mieście*, Media Rodzina, Poznań 2014.
- Jerszow P.P., *Konik Garbusek*, Książka i Wiedza, Warszawa 1988.
- Leszczyński G., *Wielkie małe książki*. Lektury dzieci. I nie tylko, Media Rodzina, Poznań 2015.
- Suchar A., *Czerwony Kapturek*, Publicat S.A., Poznań 2005.
- Suchar A., *Jaś i Małgosia*, Publicat S.A., Poznań 2005.



Rys. Joachim Martusewicz

Trzymają się za ręce. Dotyk ciepłych dłoni to jest coś. To jest ciepło podwójne. Lepkie, gdy w załomach ręki, gdzieś pomiędzy liniami papilarnymi życia i szczęścia, pojawi się nagle kropla potu. Taka kropla potrafi skleić przystające do siebie powierzchnie. Przyssać jedno do drugiego. Wystarczy chuchnąć albo splunąć. Wystarczy napić się po dwa piwa i wziąć za ręce, żeby przez chwilę pomyśleć, że to już prawdziwy węzeł. To ciągle zwykły haczyk z przyssawką przyczepioną do błyszczących kafelków w kuchni. Wisi na nim ścierka w kratkę do wycierania naczyń. Czerwona kratka widocznie nie waży aż tak dużo. Może nawet nie waży wcale.

Idą z zachodu na wschód, chociaż do wschodu jeszcze daleko. Jeszcze zdążą ich rozboleć nogi. Bąble na stopach są zwykle nieprzyjemne. Przy pierwszym lepszym przestanie im się chcieć. Dzisiaj jednak skupieni na chwili. Na teraz. Na tu. Na niczym więcej. Potem? Nie ma potem. Po przejściu przez ulicę na czerwonym świetle on zachodzi jej drogę. Stają na krzywym kaflu i patrzą w sobie w oczy. Przytulają się. On chce ją pocałować. Całuje. Wypuszcza z rąk jej kruche ciało opatulone w czarną, puchową kurtkę. Nie jest aż tak zimno. Kurtka szeleści przy każdym ruchu. Czemu ona ubrała tę kurtkę? Słychać ciągle szeleszczenie. To trochę denerwuje. Mogła założyć płaszcz, ma taki szary na cztery duże guziki.

Idą. Można by podejść i zapytać skąd wracają, ale i tak widać. Po rozchwianym kroku, po czerwonych policzkach dziewczyny. Tańczyli przed chwilą w klubie Dance, do którego schodzi się po stromych, niezbyt szerokich schodach. Grała kapela. Czterech kolesiów z gitarami, poprzebieranych za kobiety. Porwane rajstopy i mocno czerwone usta, sukienki i falkbanki. Napięte mięśnie i owłosione nogi. Lakier z paznokci rozpryskiwał się, uderzając o struny. Nawet skocznie. Nawet do rzeczy. Nie można było nie tańczyć. Tańczyli. Zbici w ciasną masę kiwali się na wszystkie strony. Ona w krótkiej, czarnej pikowanej spódnicy. W czarnej koszulce z tłoczonymi znaczkami. Chciałaby coś powiedzieć tą koszulką. Zawołać.

AGATA GRZEGORCZYK-WOSIEK

Młodzi

Właśnie po to kupiła ją w swoim ulubionym sklepie na rogu. Jakiś czas temu. Ten sklep kusił ją zawsze. Różnorodnością fabrycznie niedoskonałych końcówek serii. Egzemplarzy niespełniających kryteriów. A jednak. Trochę jak ona. Trochę jak każdy. Rozwieszane kolorami, prowadziły człowieka od lewej do prawej, zgodnie z ruchem wskazówek. Zgodnie z wrodzoną prawoskrętnością ludzkich umysłów. Ona i tak najpierw zanurzała się w czernie wiszące na samym końcu. Może dlatego, że po prostu nie odróżniała prawej od lewej. Może dlatego, że prawa i lewa tak naprawdę niewiele się różniły. Przecież to tylko kierunek wirowania. Niektórzy mówią, że istotny. Lustrzane odbicie, gdyby wylazło z ram, byłoby trujące. Pewnie dlatego sprzedawczyni patrzyła na nią niechętnie, stukając prawą ręką w klawisze kasy fiskalnej. Kiedy ona, idąc w odwrotnym kierunku, trafiła na tę koszulkę ze wzorem, od razu poczuła z nią naturalną jedność. Intuicyjną zgodność struktur i kodów komórkowych. Doskonałe dopasowanie materii.

— Poproszę! — powiedziała, kładąc ubranie na ladzie.

Prawoskrętna sprzedawczyni patrzyła na nią swoim niechętnym wzrokiem. Prawą ręką spakowała bluzkę do jednorazowej siatki z plastiku. Przyjęła pieniądze. Od tamtej pory czarna bluzka ze wzorkiem miała mówić za nią. Za nią wyglądać. Ludzie mieli pojąć to wyglądanie, zanim ona otworzy buzię. Zanim ona zaskrzeczy na cały głos lub zawoła. Pojąć i potem głupio nie pytać.

On też w coś ubrany. W jakiś strój bez znaczenia. Koszulka w kształcie litery T w szarym kolorze nie jest manifestem. Chociaż może jest. Manifestem nie-manifestu. Albo coś. Tam w środku nie można było rozmawiać. Nie rozmawiali. Pili gorzkie i żółte piwo. Tańczyli. Potem pili piwo i jeszcze tańczyli. W końcu ona popatrzyła na zegarek. Wkładała go zawsze rano, zaraz po przebudzeniu. Przytracała czas do nadgarstka brązowym skórzanym paskiem. Na trzecią dziurkę. Zegarek pokazywał trzy po pierwszej.

— Idziemy? — powiedziała mu wprost do ucha. Czuł, jak jej usta ruszają się

mówiąc. Jak te trzy ciepłe zgłoski wędrują po skórze aż do bębenków. Jak tłuką młoteczkami. Jak walą sercem.

— Co? — zapytał, żeby dotknąć jej ustami. Żeby ona jeszcze raz dotknęła jego.

— Nic. Nic. Nic.

Słowo bez zawartości krzyczało z daleka.

Pociągnęła go za rękaw. Wyszli w chłód. Dotarli do tego miejsca, gdzie stali potem przytuleni. Do takiego miejsca, w którym zobaczą się po trzynastu latach pewnego lipcowego dnia. Ona będzie siedziała w samochodzie ubrana w czerwoną, letnią sukienkę. On będzie pchał wózek po chodniku. Spacerówkę. Dziecko w spacerówce zdejmie sobie skarpetę i rzuci na krzywy kafel. On się pochyli. Kiedy podniesie głowę, zobaczy czerwoną sukienkę. Takiego koloru nie można przegapić. Taki kolor wgrzyza się w oczy. Taka sukienka. Taka kobieta. Takie siedzenie. Wymienił wtedy jedno, trwające ułamek sekundy, zerknięcie i oboje odwrócił głowy. Nie ma potrzeby, żeby historia bez znaczenia płątała się po ludzkim mózgu. Nie ma potrzeby pamiętać detali czyjegoś ubrania sprzed trzynastu lat, tylko pamięć jakoś tego nie wie. Rejestruje wszystko z dokładnością tysięcy klatek na sekundę, zalewa utrwalceniem i wyciąga przy pierwszej lepszej okazji. Najpierw blade. Stopniowo nabiera mocy. Już są. Plamy oczodołów wyrzeźbione w głowie. Czarne włosy. Przestrzenie między palcami. Na samym końcu pojawi się biały szalik, którego wcale nie było. Tak biały, że trzeba będzie przestać patrzeć. Trzeba będzie odwrócić głowę. Ze strachu, że coś jeszcze mogłoby się przypomnieć. Teraz stoją na krzywym kaflu. Jedno uderzenie zegara. W pół do drugiej. Ta godzina sama siebie nie pamięta, chociaż powtarza się dwa razy na dobę. Wie tylko, że należy iść dalej. Krążyć wkoło tego czegoś, co podobno jest na środku. Co jest na środku? Jakie epicentrum? Co tam jest. Tam nie można nigdy dotrzeć. Nie można tego dotknąć. Na słońce wystarczy patrzeć z daleka. Nie wystarczy. Nie uwierzysz, że ono parzy, póki nie poczujesz bólu. No więc co jest na środku? ■

